



08/0547



SIOSTRY CLEO

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

951

SIOSTRY CLEO

NOWELE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

LPI 4d

431037

I

K-80/2480
5.3.1 60,-



WARSZAWA
Drukarnia Wł. Łazarzkiego
1928

SIOSTRY CLEO

I.

Trzeba zacząć od tego, że siostry Cleo nie nazywały się wcale Cleo, tylko nazywały się całkiem prosto Gwoździkowskie. Właściwie i z tem prawdziwem nazwiskiem „Gwoździkowskie“ — był — jakby to delikatnie powiedzieć? — swąd.

Bo starsza, brunetka, w niczem nie przypominała młodszej, blondynki, a obie razem w niczem znowu nie były podobne do nieboszczyka ojca, świeć Panie nad jego duszą, teatralnego woźnego, Gwoździka.

Najpierw Gwoździkówny, potem Gwoździkowskie, przechrzcili się ostatecznie obie siostry na „*Sisters Cleo*“.

Zrobiły to potrosze przez snobizm, potrosze z konieczności.

Bo inaczej wygląda charleston, czy black-bot-

tom, tańczony przez jakieś zakazane panny Gwoździkowskie, a inaczej znów — „kreowany“ przez panny Cleo!

Ruch ten sam, ta sama szelmowska gracia, te same pyszne łydki, to samo zacięcie, ta sama werwa: ale wręcz odmienna kalkulacja.

W pierwszej redakcji w najlepszym razie, co następuje:

1. Jarzębinówka. 2. Kotlet de volaille. 3. Kawa czarna. 4. Baczewski. I — honny soit, qui mal y pense — 25 złotych na drobne wydatki.

W drugiej natomiast redakcji — (*Sisters Cleo! Etoiles! Duo Excentrique:*) co najmniej:

1. Starka. 2. Majonez z łososia. 3. Indyk. 4. Sałata z ananasów. 5. Melba. 6. Mumm. 7. Kawa czarna. 8. Revière-Gardrat. 9. Winogrona. I — honny soit, qui mal y pense — 100 złotych (j. w.).

Heńka i Felka Cleo, dziewczyny w gruncie rzeczy poczciwe, chociaż głupie, miały, jak to się mówi, życie l e t k i e. Ale to się tak tylko mówi! Przed laty już zauważył pewien dowcipny pisarz, że „gdyby ten lekki chleb nie był taki ciężki, to byłby ten ciężki chleb — najlżejszym“.

Wiejska publika i wogóle goście przyjezdni, przypuszczali zapewne, że te dwie ładne papużki

tańczą w dancingu dla własnej satysfakcji, każąc sobie płacić drogo za głupstwa.

Otóż z własną satysfakcją było bardzo niewyraźnie, z drogiem płaceniem —¹ jeszcze niewyraźniej, a już chyba najbardziej niewyraźnie z rzekomymi głupstwami.

Faktem jest bowiem, że po 8-godzinnyim pobycie w lokalu (na więcej nie pozwalają ustawy, dbałe o los warstw pracujących!), wynudziwszy się i wymęczywszy z dobrą setką przygodnych dancerów, wracały siostry do domu jak martwe...

Faktem jest dalej, że pobierana gaża mogła była wystarczyć, w najlepszym razie, na akwizycję 2-ch par jedwabnych pończoch ze strzałkami; cały ciężar pensji złożył przemysłny właściciel lokalu na barki zacnych klientów. (Porównaj: — Starka, majonez z łososia, indyk i t. d.).

Faktem jest wreszcie, że umiejętność fenomenalnych sióstr Cleo, nadprzyrodzona giętkość ich ruchów, błyskawiczna obrotność bioder, frenetyczna ruchliwość ich stóp — cała ta elektryczność, suchość, rasowość, lekkość, pewność — nie przyszły same przez się, tylko wyrobiły się po latach ciężkiej, zabójczej orki, z nauczycielem i bez nauczyciela, z taperem i bez tapera, z patefonem i bez patefonu.

Felka, młodsza, uderzała czasem w bek.

Wówczas Heńka, starsza i stateczniejsza, mówiła jadownicę, przez zęby:

— Jeżeli ci nie smakuje, idź na Nowy Świat...

I dodawała jeszcze:

— A jak będziesz ryczała, to sobie m a n i k j u r popsujesz, głupia!

Więc doszły do perfekcji niełatwo, jak widzimy. Z niejednym drabem musiały się zadać, żeby pojąć zagraniczny „szyk“ tańca.

Niejedną przytem ofiarę poniosły!

Heńce zginął raz złoty zegarek...

A już o Felce niema co mówić. Każdy prawie ananas coś od niej wycygał. Papierośnicę... Pieśniadze... Kwit lombardowy...

Wiadomo. Między zawodowcami są rozmaite numery!

II.

Niewesoło zaczął się dla obu sióstr dzień wigilijny.

Przedewszystkiem z gotówką w tym sezonie było jakoś krucho, gości, gotowych dać owe 100 złotych, na lekarstwo, raz na parę dni jakiś jegość, stawiający kolację — ale nic więcej.

Następnie trzeba powiedzieć, że siostry Cleo wogóle nie wiedziały, co robić w wigilję.

Rodziców dawno już nie miały, z jedyną bliższą krewną, matki siostrą, zerwały, czy też ona z nimi zerwała...

Ze znajomych panów, jak na złość, żaden przyzwoitszy nie został w Warszawie na Święta.

A najgorsza rzecz, zamknięto lokal na całe dwa dni — i to było wprost nie do zniesienia!

Siostry Cleo umierały wprawdzie z nudów w dancingu, irytowały się, kiedy im skąpiono braw, dostawały mdłości, kiedy im wypadało tańczyć z podпитыmi durniami, ściskającymi ich wypielegnowane ręce w swoich, często fatalnie spoconych, łapach. Ale bez dancingu już żyć nie mogły! Nie wiedziały, co robić z dniem, w którym niema jazzbandu, ścisku, gwaru, lawirowania między stolikami, lepkich spojrzeń mężczyzn, cocktail'ów, wachlarzyków, parasoli, łatwych awantur?

— Pójść na spacer? Ależ żadna z nich nie miała ciepłego futra! Miały wprawdzie jakieś wspaniałe wieczorowe płaszcze, ale w tem niesposób paradować w taki ziąb!

— Pojechać taksówką? — Dokąd?

— Kupić sobie choinkę — Poco?

Wybrały się o zmierzchu na miasto. Z nudy.

Posiedziały godzinę w Ziemiańskiej, kupiły strucle; potem, w sklepie kolonialnym, jakieś szprotki; potem wstąpiły jeszcze do znajomego fryzjera, w nadziei, że bodaj porozmawiają trochę z manicurzystką, panną Zosią. Ale u fryzjera był ogonek, panna Zosia, zazwyczaj bardzo uprzejma, miała jeszcze pięć klientek, wszystkie inne były zajęte...

Dały sobie ostatecznie wkręcić jakiś krem, na który wydały niepotrzebnie moc pieniędzy...

I złe jak osy wróciły do domu, na Widok.

Właśnie zapadał zmierzch.

Zima bywa podobno bardzo piękna, ale chyba na wsi. Na wsi pada biały śnieg i dzwonią dzwonki, a w Warszawie śnieg nie pada... Być może zresztą, że też czasem pada, ale, nim doleci do ziemi, już się robi czarny... I nieba takiego niema, jak na wsi...

A już co jest faktycznie w mieście nieprzyjemne, to schody! Przecież, jeżeli teraz wszyscy, przypuścemy, obchodzą Święta, i wszystko się zamyka, i nawet dancing też, i nie jeden, ale wszystkie! — to mógłby taki cham dozorca trochę porządku zrobić! Zamieść! Przewietrzyć! No, niechby bodaj tych parę parszywych żarówek wkręcił, co

to ich od pół roku niema, że trzeba świecić zapalnikami! Ale, akurat! Zapali! W maju! (Siostry Cleo wchodziły właśnie wściekle na 3-cie piętro.)

— I z temi kotami raz — teżby mógł, idjota, porządek zrobić! Nazywa się „Święta“! — Ładne Święta! Aż w nosie wierci! Tfu! (W tej chwili przekreśliły klucz i otworzyły drzwi, prowadzące do ich mieszkania.)

— Naturalnie! Leonową już poniosło! Nawet łóżka nie posłała! Stara małpa! A bierze, psiakrew, 20 złotych miesięcznie za usługę! (Felka położyła sprawunki na komodzie.)

— Potrzebny był ten krem, jak umarłemu kadzidło! Ostatni raz wyszłam na miasto z głupią hrabianką! Kremów jej się zachciewa, po 10 złotych flakon! A na całe Święta jeden papierek został, i to naddarty, niewiadomo nawet, czy wezmą! A ten krem jest taki sam paryski, jak i ty jesteś paryska! Chcesz, to ci powiem, z czego to zrobione, idjotko! Ze starego łoju i z najgorszych perfum! z tobą coś kupować! No! — Cholera!

O godzinie 7-ej, wyzłościwszy się porządnie i rozebrawszy się prawie do koszul (dobrze jeszcze, że stara napaliła!) w starych, poplamionych szlafro-

kach, w zdeptanych pantoflach bez obcasów, zasiadły siostry Cleo do wieczerzy.

III.

Przeciągały to picie herbaty bardzo długo, bo choć we dnie mówiły, że się raz przynajmniej uczciwie wyspią, wiedziały dobrze, że tak łatwo nie usną. Nie usypia się łatwo, jeżeli człowiek jest przyzwyczajony do powrotów o świcie.

Zjadły wszystkie szprotki i dobrą połowę migdałowej strucli. Na stole było brudno i niechlujnie, ale żadnej z nich nie chciało ruszyć się do kuchni. Tak przywykły do kelnerów, że im sprzątanie oddawna szło niesporo.

Więc starsza siostra sięgnęła leniwym ruchem do szufladki nocnego stolika i zaczęła machinalnie rozkładać jakiś pasjans, którego nauczyła się od koleżanki; a młodsza rozłożyła przed sobą stary kalendarz, tak samo beznadziejnie tłusty, jak i ten obrus, na którym jadły, i wzięła się do lektury sto razy przeczytanych, pikantnych „kawałków“.

Rychło jednak dały spokój kartom i kalendarzowi... Oparły głowy na dłoniach — i wpatrzyły się bezmyślnie w ścianę.

I tak siedziały osoviałe, słuchając tykania ze-

gara, na którym czas włókł się niemiłosiernie leniwie... na którym wskazówki, zda się, nie posuwały się wcale... którym owładnęła, widać, taka sama przeraźliwa, beznadziejna nuda...

Wstały od stołu prawie jednocześnie — jednocześnie podeszły do okna, za którym była w tej chwili noc i wyjątkowo pusta ulica Widok, i martwa ściana kamienicy z naprzeciwka...

Mętne, żółte światło latarni gazowej chwiało się na wietrze. Brama, w której zazwyczaj bywał ruch wielki, bo się przez tę bramę wchodziło do umeblowanych pokoiów — dobrze znana brama vis-à-vis — otwarta naosćcież, ale dziś dziwnie odludna — ziewała tak samo, jak i siostry Cleo...

Od czasu do czasu przemykał się chodnikiem jakiś zapóźniony przechodzień, śpieszący zapewne do swoich, do domu.

Od czasu do czasu błyskało w jakimś oknie, za roletą, niezwykle, jarzące się światło: choinka.

Od czasu do czasu dolatywał przeciągły, stłumiony gwizd lokomotywy.

Zresztą cicho było i głucho.

I smutno...

W jakiejś chwili siostry Cleo odeszły od okna

i zaczęły się szykować do snu, chociaż nie były śpiące. Nie tknęły stołu, na którym leżały obmierzłe resztki jedzenia. Nie poszły do umywalni, przed którą odbywały codziennie staranne ablucje.

— Poco?

Heńka przez sekunde siedziała zupełnie naga na brzegu łóżka.

Potem wolno włożyła nocną koszulę i wsunęła się pod kołdrę.

Felka zerknęła ukradkiem na starszą siostrę, otworzyła słoik z kremem, natarła sobie twarz i zapytała:

— Gasić...?

Tamta odparła:

— Gaś...

Światło zgasło.

P I A.

Z tym portretem zaczęło się od stuprocentowego nieporozumienia...

Do kawalerskiego stolika, przy którym siedział ze swoją wesołą kompanją malarz Barski, zwany w najbliższem gronie przyjaciół (a zwłaszcza przyjaciółek!) s t u p r o c e n t o w y m m ęż c z y z n ą, podbiegł w pewnej chwili, boczkiem, pan Stefan, maitre-d'hotel, bardzo zażenowany. Nachylił się do ucha Barskiego.

— Najmocniej szanownego pana przepraszam, ale chciałbym słóweczko, na osobności...

— Na osobności?

— Tak jest. Najmocniej przepraszam...

— Gadaj pan. Tu sami swoi.

— Kiedy faktycznie sprawa do pewnego stopnia poufna...

Barski wstał zdziwiony.

— O co chodzi?

Maitre-d'hotel spojrział na malarza błagalnie.

— Może szanowny pan byłby łaskaw pofatygować się ze mną na sekundę do gabinetu?...

Towarzystwo Barskiego wybuchnęło śmiechem.

— Idź, Jerzy, idź! Tu coś pachnie kobietą! Nie utrudniaj panu Stefanowi! Tylko nam aby nie zgiąć na całą noc!

Pan Stefan, perła maitre-d'hotelów, stopniół w ukłonie.

— Momencik, proszę panów! Gdzieżbym śmiał odrywać szanownego pana od towarzystwa!

Wykręcił się na pięcie, uczynił ozdobny piruet, torując drogę Barskiemu; usunął jakieś krzeselko, przeprosił jakiegoś gościa, tu powiedział „pardon!“, tam powiedział „pardon!“ — pilotował Barskiego, jak mistrz.

Niełatwe to było zadanie, bo sobotnia publiczność zapełniła modny doncing do ostatniego miejsca. Nie było gdzie szpilki wetknąć.

Lawirując między zasuniętymi ciasno stolikami, ocierając się o tancerzy, drepcących w szalonym ścisku na małym kwadracie posadzki, jakoś wreszcie wypłynęli z sali.

Barski wszedł do pustego gabinetu, dyżurny

kelner zapadł się (na znak pana Stefana) pod ziemię.

— No, o co chodzi?

Pan Stefan rozłożył ręce.

— Musiałem.

— Mówże pan nareszcie!

— Jeden pan jest na szanownego pana obrażony, i może być awantura!

Barski sponsowiał.

— Co ta-kie-go???

Przyrodzona porywczosć rozděła mu rasowe nozdrza. To prawda, że tego wieczoru sporo pił, ale gdyby był nawet nie dotknął kieliszka, teżby wpadł w gniew! Huknął zgóry na maitre-d'hotela:

— Czy pan oszalał?! Robi pan jakieś głupie konspiracje, odrywa mnie pan od mojego towarzystwa!? I poco? Poto, żeby mi powiedzieć, że jakiś idjota ma do mnie dziką pretensję!? A mnie co do tego!? Niech sobie ma!

— Proszę wejść w moje położenie —

— At, zawraca pan głowę!

Barski energicznie otworzył drzwi gabinetu, ale nieszczęsny maitre-d'hotel złapał go za mankiet.

— Stokrotnie szanownego pana przepraszam! Ale niech szanowny pan sam raczy osądzić! Przywołuje mnie do swojego stołu jakiś pan, którego

nie mam zaszczytu znać... (nasi kelnerzy też tego gościa nie znają). — Przywołuje mnie i mówi na cały głos: — Powiedz pan temu przystojnemu brunetowi, o, tam, pod lustrem — (wskazał szanownego pana!) — że jeżeli w tej chwili nie przestanie tak natarczywie przyglądać się mojej żonie — wstanę, podejść do niego, przedstawię się — i...

Barski poczuł, że mu wszystka krew nabiega do twarzy, ale opanował się. W takich sytuacjach należy zawsze zachowywać spokój!

Ściągnął tylko brwi (był w tej chwili z tym marsem, z tym rumieńcem i z tym błyskiem w oczach naprawdę bardzo przystojny) i powiedział krótko:

— Pan jest w porządku.

Mówiąc to, odsunął maitre-d'hotela i wyszedł na kurytarz.

— Może pan powiedzieć temu jegomościowi, że jeżeli chce mieć awanturę, to ją będzie miał!

Maitre-d'hotel chciał jeszcze coś perswadować Barskiemu, ale malarz już na dobre kipiał.

— Owszem, jeżeli pan chcesz wiedzieć, przyglądałem się nieco dłużej jednej pani. Przyglądałem się, bo jestem w knajpie, a nie w klasztorze. Przyglądałem się, bo jestem malarzem i lubię ładne typy. Zresztą, tak mi się podobało! Z tego jednak

nie wynika, żeby się jakiś osioł (którego dalibóg nawet nie zauważyłem, bo patrzyłem na tę damę, nie na jej asystę!) — żeby jakiś, powiadam, dureń miał mi grozić!

Pan Stefan prawie płakał...

— Szanowny pan rozumie — — —

— Owszem, rozumiem. — Ale znacie mnie od kilku lat i wiecie, że ani trzeźwy, ani pijany, burd w lokalu nie robię. — Inna rzecz, jeżeli mnie ktoś prowokuje, a tem bardziej — starszy. — Spreparuję go na fiołkowo! — Wymaluję na taki światłocień, że jutro wszystkie gazety — — —

— Błagam szanowne — —

— Dosyć!

Stolik Barskiego odrazu spostrzegł, że coś się święci, bo malarz wrócił z gabinetu wściekły. Z czu-pryny parowała mu irytacja, z oczu szły jakieś niepokojące skry...

Kompan Barskiego, gruby mecenas Daczewski, trącił go zlekka w łokieć.

— Miałeś z kimś krótkie spięcie?

— Będę miał!

Drugi kompan Barskiego, ogromny Bachman, dobrze już nagazowany, kiwnął na stojącego wpo-bliżu kelnera.

— Dajcie nam zaraz butelkę białego, bo robimy awanturę! — Tylko na jednej nodze, już! — Nie znoszę widoku krwi przy Benedyktynie. — Od tego jest Mumm!

— Jaśnie pan do wina każe podać migdałki?

— Nie! — Wody gulardowej i waty dla nieznanego gościa! — Pan Barski będzie miał z jednym nieznanym panem intymną rozmowę! — I poszukajcie zaraz w szatni p e l e r y n y tego pana: Mój przyjaciel, pan Barski, ułatwi mu osobiście zejście ze schodów! — Ha-ha!

Było jednak widać, napisane w księgach przeznaczeń, że do skandalu w zacnej „Alhambrze“ tego wieczoru nie dojdzie, choć już wpobliżu stolika Barskiego zaczęto tu i tam trwożnie poszeptywać, a ten i ów z gości, strzegący cnoty i bezpieczeństwa swej ślubnej żony, spozierał w stronę wyjścia...

Było na pewno napisane, że wszystko się skończy Locarnem — i że czujny pan Stefan z arjer-gardą trzech najtaktowniejszych kelnerów — nie będzie musiał wyskakiwać z ukrycia...

W chwili bowiem, gdy Mumm strzelił i gdy się sympatyczny bas Henia Bachmana rozpostarł ma-

jestatycznie: Więc gdzież jest ten samobójca, który wyzywa Barskiego na rękę? — zerwał się raptem mecenas Daczewski, szkarłatny z alteracji, stanął między Barskim a wysokim, surowym panem, który wyrósł przed ich stolikiem jak z pod ziemi — i zawołał:

— Ada, to ty???

Jakoż okazało się, że nieznajomy pan to jest właśnie „Ada“ — „Aduchna“ — Adolf Pełczyński — najlepszy druh mecenasa z ławy szkolnej — srogi obszarnik z jakiejś dalekiej, ale bardzo żywej ziemi — morowy chłop — i, słowem, „swój facet“!

— Siadaj, Ada!

— Daruj, ale chciałbym wpierw zamienić dwa słowa z tym panem — — —

— Siadaj, powiadam!

Barski wstał.

— Pan, zdaje się, ma do mnie interes? Służę panu...

Daczewski zaśmiał się tubalnie.

— Innym razem będziecie sobie służyli! Koguty! Warjaty! Daję słowo, że nie wytrzymam! O mały włos byłoby się poczuło dwóch moich najlepszych przyjaciół... Ha, ha, ha... Pozwólcie... Mój kolega szkolny, Adolf Pełczyński... Pan Jerzy Bar-

ski, znakomity malarz... Pan Jan Bachman, znakomity pijak... No, podajcie sobie ręce!

— — — — —

— Co było robić?

— — — — —

Cercle się utworzył ogromny i pierwszorzędny, bo Barski oświadczył rycersko Pełczyńskiemu, że nie myślał obrażać jego żony ani myślą, ani mową, ani tem bardziej uczynkiem; że boleje nad nieporozumieniem, które widocznie zaszło; że wszystkiemu są winne jego, psiakrew, malarskie oczy i ten głupi, zawodowy narów wgapienia się w każdą ciekawą kobietę, która interesuje go, Barskiego, jako malarza — i tylko jako ewentualny model; no, tak; że nie daruje sobie nigdy, jeżeli zdenerwował Panią; i prosi, i błaga najpokorniej, żeby go Pełczyński raczył swojej żonie przedstawić; i jeżeli trzeba będzie, to klęknie i na klęczkach poprosi o przebaczenie; to samo oświadczyli obaj Barskiego druhowie, Daczewski i Bachman; też wyrazili gotowość ukłęknięcia i t. d.

Koniec końców, stolik się zaokrąglił wsporniale, bo czterej panowie, wychyliwszy duszkiem Mumma, skierowali się do stołu Pełczyńskich, przy którym w tej chwili (trochę jeszcze błada z emocji) siedziała piękna pani Pia w towarzystwie

jeszcze jednego pana, w danym momencie neutralnego.

— Pozwól, kochanie, że ci przedstawię — —
Pani Pia uśmiechnęła się jak Madonna...

Ładny blues ma to do siebie, że nawet straszliwego Waldemarasa usposabia jagiellońsko, a srogięgo Sahma — rzuca z impetem w objęcia Polski.

Jazz-band grał właśnie omdlewającego, tęsknego bluesa, Barski, trzymający w ramionach piękną panią Pię, doznawał uczucia, że tańczy z jakąś świętą...

O pani Pii nie można było powiedzieć, że jest ładna: stosowniejszy byłby przymiotnik **c u d o w n a**!

Ował twarzyczki, czysty jak pomysł szczerzego artysty, prześwietlał jakiś wewnętrzny, rozkoszny blask, zupełnie promienny. Na pięknych, niewinnych wargach kwitł uśmiech małej dziewczynki. Pod prostą, zarazem niesłychanie wytworną suknią, trzymającą się białych ramion pani Pii chyba cudem — ondulował w tańcu najsmuklejszy na świecie kobiecy akt...

Dodać do tego trzeba, że małe, zwinne stopy tej uroczej tancerki miały jakiś własny, arystokratyczny, zarazem wstydlivy w y r a z — i że pan-

tofelki, kryjące ów wyraz, uwydatniały wysokie, rasowe podbicie jakby przypadkowo — tyle miały te strzeliste nogi z łądygi, i te drobne stópki z kwiatu, i wogóle...

— Czy pani lubi tańczyć? — zapytał w pewnej chwili Barski, kołysząc się z panią Pią w takt bluesa tuż przed saksofonem — i zawstydził się! — Pani mi raczy darować to banalne zapytanie...

— Bardzo lubię! — odpowiedziała pani Pia.

Szczerość tej odpowiedzi, jej prostota, wiążąca się tak przedziwnie z wyszukaną prostotą paryskiej toalety, spojrzenie oszałamiających, a zarazem niewinnych oczu, cały sposób bycia pani Pii, zupełnie podbiły Barskiego.

Odprowadził tancerkę do stolika, ucałował ją sakramentalnie jej wąską dłoń, trącił się kieliszkiem z jej mężem, powiedział coś miłego milczącemu młodemu człowiekowi, poznanemu przed chwilą w towarzystwie państwa Pełczyńskich, zaśmiał się, usłyszawszy jakiś zabawny kawał Daczewskiego, uściśnął mocno rękę wniebowziętego Bachmana, kiwnął przyjaźnie głową maitre-d'hotelowi, panu Stefanowi, który patrzył na całe towarzystwo z wyrazem radosnego rozczulenia — (tak patrzy ojciec na pogodzonych synów!) — ale wszystko

to czynił machinalnie, myśląc w gruncie rzeczy tylko o niej:

O pani Pii!

— ...Jakież ze mnie jest kwadratowe bydlę! — monologował w duchu Barski. — Niby to się znam na kobietach, a gotówem był strzelić straszego baka! Ta kobieta miałaby być łatwa? Mocny Boże! A toż to jest uosobienie uczciwości i niewinności! Z jakim to wzruszającym wyrazem patrzy na własnego męża! Jak się to ślicznie, szczerze śmieje! Ile to ma w sobie czaru młodości i moralnego zdrowia. I dziewczęcości. — Jak ja mogłem się wpatrywać tak arogancko w jej oczy? — I jak ja śmiałem patrzeć na te jej cudowne, bezgrzeszne nóżki? — I co mnie w pierwszej chwili opętało, żeby zrobić awanturę jej przemiłemu mężowi? — Idjota byłem, kompletny idjota! — Trzeba to koniecznie jakoś odrobić! — W dzisiejszych czasach tak trudno o kobietę tego typu, że się powinno koło takiego anioła chodzić na palcach.

(Barski aż pobladł z cichej egzaltacji.)

— Muszę ją namalować.

Był, jak we śnie. Wszystko, co nastąpiło od chwili poznania pani Pii, wydało mu się niezwy-

kłe i uroczne. Nawet projekt pojechania na czar-ną kawę do jednej z osławionych knajp podmiej-skich (Alhambra już pustoszała) przyjął, jak obja-wienie.

— Jak to się rozpromieniło! Widać rzadko wyjeżdżają z majątku! Cieszy się każdym drobia-zgiem!

W aucie, siedząc naprzeciwko pani Pii (było strasznie ciasno), unikał jak najstaranniej najmniej-szego kontaktu z jej nóżkami. Czuł, że jakakolwiek licencja równałaby się (w stosunku do tej aniel-skiej kobiety!) — świętokradztwu.

Pani Pia była uperfumowana dobrze znanemi Barskiemu perfumami Carona, których niecier-piał. Ale w tym wypadku miał wrażenie, że Caron naraz dziwnie wyszlachetniał i wypiękniał.

— Ta kobieta pachnie wiosną i wsią! — po-myślał.

Z poza skunksowego kołnierza patrzyły nań głę-bokie, piękne oczy pani Pii.

— Burne-Jones! — stwierdził Barski, wniebo-wzięty.

Pani Pia roześmiała się czegoś i zanuciła w przy-stępie świetnego humoru refren modnej, swawol-nej piosenki. Głos miała dźwięczny.

— Święta Cecylja!

Opuścił ostatecznie „Gajówkę“ około 6-ej z rana...

Stało na tem. że Barski będzie malował portret pani Pii. Pełczyński zgodził się na to skwapliwie. Daczewski i Bachman powitali wiadomość o projektowanym portrecie z entuzjazmem, pani Pia — z szaloną radością.

— Będę miała mój portret, namalowany przez takiego sławnego malarza!

Tylko neutralny młody człowiek nie wypowiedział się w tej sprawie konkretnie. Być może zresztą, że też był zachwycony, tylko nie okazał tego nazewnątrz, będąc z natury dosyć powściągliwym i zamkniętym w sobie.

Oczywiście, nie mogło mowy być o tem, żeby pani Pia przychodziła „na pozę“ do pracowni Barskiego. Postawił odrazu kwestję jasno! Odbiera często różne telefony z miasta i musi się „wyglupiać“ do różnych dam... Jeżeli państwo Pełczyńscy pozwolą, zainstaluje niezwłocznie stalugi i tak dalej w ich hotelowym apartamencie, w „Europie“. (Mieszkali w Europejskim.) Farby, pendzle, wszystko, co trzeba, każe zanieść do hotelu swojemu giermkowi. Nigdyby nie śmiał prosić pani Pii



o pofatygowanie się do jego garsonjery, gdzie, niestety, bywają różne osoby...

Młody człowiek, który był przypadkowo obecny podczas tej rozmowy, uściśnął z wylaniem rękę Barskiego i powiedział mu na ucho, że jest (Barski!) prawdziwym Europejczykiem, typem niesłychanie rzadkim w Polsce, i że od czasu powrotu z Konstantynopola (Barski nie wiedział dobrze, w czym pracował młody człowiek: w spirytusie, czy w dyplomacji?) — on, Mokrzecki, (Barski dowiedział się nareszcie, że młody człowiek nazywa się hrabia Mokrzecki) takiego człowieka, nawskroś rasowozachodniego — spotyka po raz pierwszy!

Pani Pia przyjęła oświadczenie Barskiego jakoś letnio.

Powiedziała tylko:

— Jak pan woli.

Pani Pia chciała z początku pozować Barskiemu w jednej ze swych uroczych, wieczorowych sukien, mocno dekoltowych, jak każe moda. Ale malarz zaprotestował gorąco.

— Błagam panią, nie! — Niech się tam portretują napół nago panie z burżuazji i aktorki! Ja panią widzę w zwyczajnej, spacerowej sukni, ewentualnie w futrze i kapeluszu!

Pani Pia zagryzła zlekka usta.

— Jak pan woli.

Seanse zaczęły się niebawem i odbywały niezwykle regularnie, bo Barski zapalił się do portretu wyjątkowo. Przesiadywał w hotelu Europejskim po kilka godzin dziennie, a później, po powrocie do pracowni, rysował jeszcze niezliczoną ilość studjów i szkiców, będących dalszemi warjantami portretu pani Pii. W czasie tym odrzucił parę korzystnych obstalunków, które mu się nastęczyły, zerwał ze wszystkiemi swojemi znajomemi, kazał na liczne telefony odpowiadać: „Pana Barskiego niema w domu“ — a pewnej damie, która się zjawiła któregoś dnia nieproszona, poprostu pokazał drzwi.

— Powiedziano ci, że mnie niema w domu?

— Tak. Jednak jesteś!

— Pracuję.

— Przypuśćmy. Ale możesz mi chyba poświęcić pół godzinki czasu?

— Nie mogę.

— Jesteś bardzo niegrzeczny, Jureczku!

— Nie wiem, czy jestem grzeczny, czy niegrzeczny. Pracuję, oto wszystko. I nie mam czasu na flirty.

— Ach, taaaak?

— Tak.

— No, to przyjrzyj mi się dobrze, skarbie, bo mnie już więcej u siebie nie zobaczysz!

— Ubolewam. — Trudno.

— Impertynent!

I dama wybiegła, purpurowa, trzaskając drzwiami...

Niewiadomo, jakby się obróciła sprawa portretu pani Pii, bo Barski wpadł naprawdę w egzaltację i zwierzył się swojej modelce, że portret ten myśli malować jeszcze najmniej miesiąc, że to będzie najpiękniejsza praca jego życia, i że teraz, po 15-tu seansach, zaczyna dopiero powoli ogarniać ogrom piętrzących się trudności, wynikających z wyjątkowości typu pan Pii... Niewiadomo, czy gdyby się w niej jeszcze szalony malarz dopatrywał i coby jeszcze pragnął na portrecie zamalować (na ostatniem posiedzeniu zamalował pani Pii pończoszkę i koniuszek pantofelka, wyglądający z pod futra, bo uważał ten szczegół za zbyt frywolny) — gdyby nie grom — grom z jasnego nieba, który spadł pewnego dnia na niego, zmuszając do nagłego przerwania pracy...

„Drogi Panie!” — pisała do Barskiego cudna pani Pia. — „Zdecydowałam się na napisanie tego listu, bo poznałam Pana, jako gentlemana i wyjątkowo rycerskiego człowieka, więc jestem pewna, że moje pismo będzie zaraz po przeczytaniu zniszczone. — Nadmiernie przedłużające się seanse nasze dają, jak się dowiaduję, powód do plotek i denerwują najbliższe moje otoczenie. — Nie mam, oczywiście, na myśli męża mojego, który wogóle nie wchodzi w rachubę, tylko kogoś, kto wszedł w moje życie, kogo Pan mógł być — i powinien był — w swoim czasie — usunąć, ale niestety nie usunął, oślepiwszy na wszystko, co nie było moją rzekomą, nadzwyczajną cnotą — i zmusiwszy mnie do wejścia na piedestał, na którym się wprawdzie zamalowuje pantofle, ale nie nasycą żądzę pocałunków. Gdyby mi się Pan nie był w swoim czasie tak szalenie podobał, byłabym zapewne już dawno przerwała te nudne seanse, po których, dla przyczyn, których panu nie wyjawię, dostawałam migreny... Proszę przysłać po ten niefortunny portret i zrobić z nim wogóle, co się Panu spodoba. — Sądzę, że będzie dobrze, jeżeli w najbliższym czasie nie będziemy się spotykali. — PIA.”

List miał jeszcze przypisek:

„Hrabia Mokrzecki dołączyłby, oczywiście, ukłony dla Pana, gdyby mógł wiedzieć o tym liście. — Więc niech się Panu zdaje, że Pan jego uprzejme ukłony otrzymał!

MIESZKANIE.

I

Dzidzio wyjął nóż z rany...

Z łona otyłej doktorowej Kafrowej zaczął się sączyć strumyk krwi.

Dzidzio zamachnął się ręką raz i drugi, jak dyskobol, kuliście, dla nabrania rozpędu — i uderzył ponownie!

Stał wjechała w pulchne ciało, jak w ciasto. Po sam trzonek. Ofiara wydała ostatni, przedśmiertny jęk — przewróciła białka oczne — i skończyła.

— Ha, ha, ha, ha!

Dzidzio wybuchnął dzikim śmiechem...

Skoczył jednym susem do tak zwanej „łazienki“, w której miał przybory do golenia; potknął się o drewnianą balję, zastępującą wannę; wyrzwał głową o schodki, zajmujące połowę całej szerokości wspomnianej łazienki; szukając poomacku,

otarł się dłonią o coś mokrego, miękkiego i obrzydliwego.

— Aha! To świeżo uprany szlafrok tej poczwary, suszący się na blaszanej rurze oddawna nieczynnego, gazowego pieca.

Znalazł wreszcie to, czego szukał: gilletkę.

Bo gilletką postanowił dokonać straszliwej operacji...

Dzidzio zdejmował skalp doktorowej Kafrowej z zimnem okrucieństwem. Naprzód podciął wstrętny, chudy kok, ukryty pod czupryną (żał się Boże!), imitującą uczesanie chłopczycy. Potem zaczął prowadzić maleńką, ostrą blachą dokoła karku, nad uszami, po skroniach, po czole...

Widział niegdyś, jak gajowy Wawrzon ściągał skórę ze świeżo ubitego lisa. Właśnie tak samo postępował!

Czytał był w swoim czasie, że Indianie śpiewali, skalpując śmiertelnych wrogów: i on zaśpiewał.

Szydliwie, ponuro.

Gdy był już bliskim finału — szarpnął mocno.

Skalp doktorowej został mu w zaciśniętej garści...

Wydał krzyk triumfu:

— Hej-Hoooo...!

Zamordowana Kafrowa leżała nawznak, okropna w skurczu przerażenia i nienawiści — a Dzikio tańczył!

Z prawej na lewą, z lewej na prawą nogę. Podskakiwał. Od czasu do czasu robił piruet. Tak, jak to niegdyś wyczyniał, zapamiętany z lat dziecięcych baletmistrz Walczak.

Dzikio zmęczył się po kwadransie tego potępiącego fox - trotta. Więc usiadł. Usiadł — i zmarszczył surowo brwi w zadumie.

— Teraz trzeba babę upiec!

O upieczeniu doktorowej Kafrowej na blasze kuchennej nie można było marzyć. Blacha kuchenna nie istniała od dwu tygodni. O usmażeniu truposza na maszynie „Primus“ też nie było mowy: „Primusa“ Kafrowa w swoim czasie umyślnie zepsuła.

Więc postanowił piec ją na rożnie.

Rozniecił na samym środku pokoju duży ogień, rzucając na stos makulaturę, połamane krzesła, książki.

A pogrzebaczka stojącego za nieczynnym piecem, użył jako rożna.

Krajał Kafrową na drobne kawałki nożyczkami, bo sobie niewiadomo dlaczego ubrdał, że trup może czuć, i że operacja krajania, dokonana zapomocą tępych nożyc, będzie dwa razy boleśniejsza..

Noża kuchennego ani scyzoryka nie użył.

Krajał nieboszczkę perwersyjnie, drobnemi, częstemi ciachnięciami nożyczek; potem obracał szczątki Kafrowej nad ogniem.

Gdy upiekł całą, odetchnął.

Ale po sekundzie refleksji — uczuł nagły niedosyt.

— Za mało! Za mało!

Więc pobiegł do kuchni, wyciągnął z szuflady maszynkę do siekania mięsa — i wrócił z nią do swego pokoju, wydając okrzyki ogromnego ukontentowania.

— He-he-he...! Doktorowo! Teraz z pani będą kotlety i klopsy!

Wiedział, że na takiej maszynce preparować pieczystego się nie godzi. Wiedział, że taka maszynka służy wyłącznie do siekania surowca. Ale to nic!

Zmełł Kafrową na drobną miazgę, zapakował to wszystko w kosz (dziwił się zrazu, że taka olbrzymia baba waży tak mało, ale sobie potem uprzytomnił, że przecież ubył ciężar krwi, której

miała tyle!), staszczył ze schodów — i zawołał taksówkę.

— Wolny?

— Wolny!

Stargowali się akordem, bo nie chciał jechać na kilometry. Do Konstancina, tam i zpowrotem, za 30 złotych.

— Jazda, panie gwiazda!

Fordzina ruszyła, brzęcząc.

Kosz ze szczątkami Kafrowej trzeszczał na tylnem siedzeniu.

W drodze nie posiadał się Dzizio z radości. Cały czas mu się usta nie zamykały. W Wilanowie kazał stanąć i zaprowadził szofera na wódkę. W Powsinie stanęli jeszcze raz, poprawili.

Dzizio był hojny, jak nigdy, aż za hojny! I on, i szofer bełkotali, dojeżdżając do owego Konstancina. Zapadał zmierzch.

Na moście nad Jeziorką, malowniczo skrzywionym, kazał Dzizio stanąć. Podczas gdy majster od Forda, tego zawiany, usiłował zawrócić na miejscu, tarmosząc biegi, pośmiewał się Dzizio jadawicie:

— He-he! Umyślnie cię tu przytaszczyłem, ję-dzo! Umyślnie! W Jeziorce są sławne raki!... Będą

cię jadły, zmoro! Jak-em ci to w duchu sto razy za życia ślubował, poczwaro, tak teraz masz! Idź do raków! Niech cię pożrą! Huuu! A potem te raki— zjedzą waluciarze! Hi-hi! Bo uczciwych ludzi teraz na raki nie stać! Tak! Będiesz pokutowała we wnętrznościach jakiegoś okropnego lichwiarza z Nalewek! Huuuuuu...!

Kosz plusnął — i zniknął w rzece.

Doczesne szczątki Kafrowej pochłoneła noc.

Dzidzio klepał po ramieniu szofera, podskakiwał wraz z maszyną na wybojach szosy i mamrotał:

— Wykończyłem babę! Ha, ha! Zlikwidowałem! Jakoś dojechali.

Przy rozstawaniu się z kierowcą taksówki rozrzewnił się Dzidzio.

— Masz, bracie - inżynierze, na sznapsa!

I wcisnął mu w łapę, zamiast należnych 30-tu, 35 złotych.

Szofer kiwnął się przy kierownicy, zaambalował, dał szusa — i utknął na najbliższej latarni.

A Dzidzio namacał niepewną ręką klucz w kieszeni — i zadzwonił do bramy.

— Hy-hy... — śmiał się głupkowato: — „Dom żałoby“! Hy-hy-hy...

— Hy-hy! „Dom żałoby“...

Stróżka człapała właśnie przez podwórze.

Dzidzio skakał po trzy schody, gramoląc się na czwartaka, i pośpiewywał, wesoły. jak ptaszek:

Psysła wirskiem,
wirskiem posła,
malowane piórka niosła...
Malowane,
a nie białe —
W Poroninie dziwki stare...
A na łące
młodziusieńkie,
mają gęby
słodziusieńkie...
Jak-em jedną pocałował,
tom się trzy dni
oblizował...
— — Hej — — —!

II.

Zmuszeni jesteśmy teraz wyjaśnić P. T. czytelnikom, kim był dawniej okrutny morderca, nowoczesny Kuba-Rozpruwacz, Dzidzio.

Do wyjaśnienia tego skłania nas tragizm opisanej zbrodni, godzącej w podstawy porządku i moralności publicznej!

Owóż, dla charakterystyki Inocentego Dzidzia (myślicie, że Dzidzio, to spieszczenie imienia? nie!

to nazwisko, tak samo dobre, jak i każde inne!) niezbędny jest nawrót do jego dziecięcych lat. Zapoznawszy się z Dzidziem w okresie przedmaturalnym, z Dzidziem w okresie młodzieńczym, wreszcie z Dzidziem - referentem — poczujemy, że nas dławia serdeczne łyzy...

Tak jest. Łzy, a nie gniew!

— — — — —

Dzidzio odznaczał się od najwcześniejszych dni życia niezwykle słodczą charakteru. Miał serduszek miękkie jak wosk, niezwykle czułe na krzywdę ludzką i cierpienia bliźnich. Bywało, poczubiał się jego rówieśnicy: jeden drugiego rrrryms! — w łepetynę... A Dzidzio w bek:

— Nie lus go... Nie lus go! Co ty mu lobis?!

Zobaczył mały Inio (Inocenty) Dzidzio, że dwaj nieznośni malcy męczą małego pieska, ciągnąc go za ogon. Wnet zalał się łzami.

— Dlaczego lobis mu to? Dlaczego?

Taki już był!

Jeżeli dowiadywał się, że gdzieś kaczkę skubią, biegł na pomoc; jeżeli widział, że wieszają lep na muchy — odklejał biedne muszki; jeżeli słyszał, że komuś skórę łupią — sam darł się, jak opętany, dopóki nie zaprzestano brutalnej egzekucji..

Szły lata, z Inia Dzidzia zrobił się Inocenty Dzi-

dzio, ale natura pozostała w nim ta sama. Mimo okrutnych wąsów, które mu się puściły, mimo pięknej, męskiej statury, mimo siły fizycznej wcale niepośledniej, był słodki jak miód i delikatny jak mimoza.

Wybuchła wojna wszechświatowa. Inocenty Dzizio skończył był właśnie 21 lat, więc musiał iść do wojska, volens-nolens, bronić całości zagrożonego rosyjskiego imperjum. Weielono go do jakiegoś pułku piechoty, zdaje się, 136-go symfero-polskiego, czy też saratowskiego — i zawagonowano z innymi biedakami, kierując na front.

Ale nie mieli w pułku z Dzizia pociechy!

Pierwszego zaraz dnia, po kapuśniaku, kiedy się żołdactwo gziło, rozbeczał się r i a d o w o j Dzizio jak dziecko, bo ktoś komuś dał z przyjaźni sójkę w bok.

Popatrzyli na Dzizia jak na warjata, ale jakoś się obeszło.

Następnego dnia jednak zdarzył się nowy casus, jeszcze osobliwszy: dowiedziawszy się, że kuchty mają sprawiać dla pp. oficerów prosiaka, zerwał się nasz wojak jak oparzony, pobiegł w podwórze, gdzie stała kuchnia oficerska, wyrwał oprawcom kwiczącego podświnka — i dalej w nogi.

Ludzie zbaranieli.

Rzecz doszła do władzy. Wezwano Dzidzia przed oblicze dowódcy roty. Dzidzio się trząsał. Rozmowa była krótka. Gdy się okazało, że szeregowiec Dzidzio nie dopuścił się pospolitej kradzieży, że raczej działał pod wpływem dziwnego altruizmu, salwując żywot owego prosiaka, podniósł się najpierw niesamowity ryk — a potem zapanowała grobowa cisza.

— Błażno j!

— Oczywisto, spiatł...

Przyszli do wniosku, że Dzidzio jest mente captus. Chciano go nawet odesłać do szpitala. Ale pewien porucznik, natura subtelna, odczuł duszne męki Dzidzia. Zapytał kapitana szeptem:

— Iwan Siemionycz... A wy - b y j e w o w s a n i t a r y ...?

Kapitan kiwnął głową.

— W s a m o m d i e l i e.

I wylano Dzidzia z linji, odkomenderowując go do sanitarjuszów.

Ale i tam niedługo popasał: na widok pierwszej rany — zemdłał!

Ostatecznie, popychali go raz tu, raz tam, wreszcie, widząc, że z tej mąki nie będzie chleba — dali oryginalnego wojaka do jakichś kopaczy.

Daleko za frontem.

Kopał coś pod Mohylowem, potem pod Orszą, faszynował.

Urwało się jednak i tu. Urwało, bo podczas kopania natrafiono (że to była pora dżdżysta) na długie dżdżownice, wijące się pod łopatą.

Dzidzio dostał spazmów, potem stanął do raportu, prosząc o zaprzestanie robót na tym odcinku.

Aż skończyła się wojna.

Nietyle zresztą skończyła, ile rozlaźła po kościach...

Wygadany adwokat Kierenski póty jeździł po froncie, póty rezonował, aż się bractwo rozgadało nadobre — no, i rozlaźło do domów. Przyszedł potem bolszewizm, ale Dzidzio otarł się o bolszewizm zaledwie jednym hakiem. Zaniosło go bowiem gdzieś nad Kamę, w takie puszcze, gdzie się żaden komisarz nie wagował. Mieszkali tam sektanci jacyś, jarosze, którzy nawet mleka nie pili, wychodząc z założenia, że mleko jest dla cieląt. Poza tem konsumowali jarzyny, surowe owoce (gotowane — grzech) i modlili się od rana do wieczora, czcząc szczególnie proroka Pafnucego, o którym gdzie indziej skądinąd cicho. Tam to żył Dzidzio, ucząc dziatwę wyplatania koszyków i robót ze słomy.

Aż go wywęszył jakiś zakazany polski komitet — i powrócił na ojczyzny łono.

Pięć tygodni wracał Dzizio do Polski: 14 dni jechał końmi, 21 dni wagonem towarowym.

Aż przyjechał.

Było to w roku 1919-ym.

Ażeby zrozumieć, ażeby sobie uświadomić dokładnie dalszą ewolucję charakteru Dzidia, trzeba wziąć na uwagę, że nieszczęsny reemigrant wyładował w roku 1919-ym w barakach powązkowskich i goły, jak turecki święty. Od zaprzyjaźnionych Pafnucowców dostał był wprawdzie na drogę koszyk surowych ogórków i carskie 5 rubli w złocie, ale o tym wiatyku dobrnął zaledwie do Moskwy, mdlejąc z głodu.

Staął na ojczystej ziemi biedny i nagi, jak Hiob. Tyle, że jeszcze owijacze miał dobre (pamiątkę po austriackim infanterzyście, któremu się tam w Rosji zmarło na tyfus...), i buty jakie-takie.

Zresztą nic więcej.

Odwszenie, no i odżywienie Dzidia trwało blisko miesiąc. Poczciwie się nim zajęły różne komitety, darząc raz szwajcarską czekoladą, kiedy indziej literaturą patryjotyczną. Summa-summarum, wydobrzył, a nawet dostał posadę: z uwagi na cenzus,

długą kalwarję i mnogie dla skołatanej ojczyzny zasługi — dostał posadę pomocnika referenta w wydziale synoptycznym ministerjum ogólnych celów. Ale mieszkanie do tej posady nie było przywiązane.

Mieszkania Dzidzio nie miał.

Mieszkał więc kolejno:

Najpierw, jak się rzekło, w barakach na Powązkach.

Potem u jakiegoś litościwego skauta, kątem.

Potem, kiedy skaut w roku 1920-ym poszedł na front (Dzidzia nie wzięli, bo miał rapturę, a poza tem, jak wiadomo...), przeniósł się nasz pomocnik referenta do hotelu „Arkadja“ (ładny ten hotel istnieje w okolicach ulicy Długiej), gdzie byłby może dłużej wytrzymał, ale go zmogły pluskwy, wielkie jak byki.

Potem mieszkał czas jakiś w małym pokoiku przy kuchni, u niejakich państwa Pęczykowskich. On pracował na kolei, ona — w magistracie. Ale się pp. Pęczykowskim urodziły bliźnięta — i pomocnika referenta ewakuowano.

Następnie zdarzyła się Dzidziowi niemiła przygoda: wziął z ogłoszenia „niekrępujący dla pojedynczego“, ale się okazało, że to był dom sch-

dzek: raz Dzidzia pobili jacyś pijacy, kiedy indziej skradziono mu ze stolika nocnego wszystkie oszczędności — 500.000 marek polskich! Poza tem stale go zaczepiały jakieś panienki...

W tym czasie, mniej więcej, spotkało Dzidzia wielkie szczęście: dowiedziawszy się o jego kwalifikacjach (Dzidzio zajmował się niegdyś z pasją meteorologją), awansował go nowy dyrektor departamentu na referenta!

Sytuacja materialna naszego Odyseusza zmieniła się nie do poznania: zamiast dotychczasowych 185-ciu złotych 18 groszy (liczono już wówczas na złote polskie!), zaczął pobierać Dzidzio 285 złotych 87 groszy!

— Majątek!

Utonął teraz biedak aż po uszy w ogłoszeniach, szukając godziwego mieszkania. Przypuszczał, że, zarabiając więcej, zdoła nareszcie rozwiązać ten zawiły problemat... Że zamieszka jak człowiek... Że będzie miał spokojny kąt, stół do pisania, szafę do ubrania, umywalnię i — kto wie? — kto wie? — może nawet dywan!?

Ale nadzieje okazały się płonnemi: Dzidzio wpadał raz po razie!

Mieszkał więc w tym nowym okresie u zboga-

conego rzeźnika, który się podczas wojny dorobił trzech sklepów. Cóż? Wysiudano go z apartamentu, bo nuworisz chciał gwałtem wydać za Dzidzia swoją najstarszą córkę, Józefę, która miała 40 lat — i zezą. Dzidzio usiłował przekonać starego, że ślubował czystość... Napróżno!

Panna Józefa włąziła do jego izdebki, wołana — niewołana — i sypała do niego oko, zawsze lewe.

A któregoś dnia, kiedy Dzidzio wrócił z biura i usnął, podniósł się nagle wielki rwetes: w pokoiku referenta znalazła się cała familja państwa Zygoniów (oni się nazywali Zygoniowie) i panna Józefa w negliżu, też.

— Pan mi zhańbiłeś córkę! — ryczał czerwony jak burak patrijarcha rodu. — Musisz się z nią ożenić w trymiga, bo inaczej wont!

Józefa kwiliła, jak zarzynane kurczę (albo udawała, że kwili), pani Zygoniowa sypała w alteracji:

— I widzieliście też, moi ludzie? Takie chuchro, na co się odważył?!

Siostrzyczki zasię (Zośka i Lucka) mrugały na siebie porozumiewawczo i podtrzymywały ofensywę rodzinną:

— Faktycznie... Takie coś! Jak panu nie wstyd?

Koniec końców wyleciał Dzidzio z tego mie-

szkania, jak z procy, uciekając przed oczywistym szantażem.

Pannicy bał się jak ognia: to też w pośpiechu nawet kołnierzyków zapomniał, które się właśnie znajdowały na jednym kwicie z temi, które pan Zygoń...

Wcale ich nie odebrał z pralni!

Wpadł jednak jeszcze gorzej.

Wprowadził się do jakiegoś dentysty, mieszającego arcy-wykwintnie.

Czego tam w tem mieszkaniu nie było! Kilimy, obrazki na ścianach, nawet fortepian był! Tylko teściowa dentysty, na oko bardzo elegancka dama, okazała się niebawem kryminalnym typem: wszystko kradła.

— Cóż, kleptomanka!

W przeciągu dwu tygodni zginęły Dzidziowi: 1) paczka zapalek, 2) „Wiatr od morza“, 3) szelki, 4) szczoteczka do zębów, 5) trzy stare krawaty, wreszcie: 6) srebrny szwajcarski zegarek.

I wyprowadził się...

Przedostatnie mieszkanie wziął w nowozbudowanym domu, u jakichś wytwornych, bogatych ludzi. Płacił słono, ale był już tak zmęczony tą tu-

laczka długoletnią, tą poniewierką, temi skandalicznymi sąsiedztwami, szantażami, pluskwami, kradzieżami — że wolał wydać raczej jedną trzecią urzędniczej pensji na dach nad głową, niż truć się ustawicznie.

Dał sto złotych, za miesiąc zgóry.

Ha? Okazało się niebawem, że woda na górne piętro nie dochodziła (o czem go wytworni gospodarze w swoim czasie, przy zawieraniu umowy, zapomnieli uprzedzić), że kaloryfery w jego pokoju nie działały (o czem go też nie uprzedzono!), że winda nie działała...

Nadomiar złego, przedstawiono mu po miesiącu Notę, jak następuje:

Nota

Dla JW Pana Inocentego Dzidzia — w/m.

$\frac{1}{3}$ świadczeń 15 złp. 20 gr.

Prąd 9 „

Gaz 7 „

Usługa 20 „

Remont windy 20 „

Total 71 „ 20 „

Słowami: Siedemdziesiąt jeden złotych 20 groszy...

Dzidzio przeoczył nawet, że w dodawaniu po-

szwindlowano niewinnie: że napisano „71“ zamiast „61“...

Zrobiło mu się zimno, potem gorąco...

Pierwszy raz w życiu zgrzytnął zębami.

Pierwszy raz od urodzenia zacisnął pięści.

Na czole nabrzmiała mu żyła...

Taki był początek demencji Dzidzia, która objawiła się zupełnie nagle; wyprowadzając się od tych przewrotnych ludzi, trzasnął drzwiami jak ordynus... Bodaj że nawet powiedział nagłos:

— Psiakrew!

III.

I wpadł w Kafrową.

Była już w tem, widać, jakaś Ananke.

Pokój u d-rowej Kafrowej wziął Dzidzio nie z ogłoszenia, tylko „przez znajomych“. Zdarzyło się bo w tym czasie, że umarł na suchoty galopujące jeden z urzędników ministerjalnych, eks-kolega Dzidzia, Biedacki. Skąd się wzięły te suchoty galopujące? — nikt podówczas, oczywiście, nie wiedział i nie podejrzewał... Przypuszczano ogólnie, że Biedacki zaziębił się, idąc do biura w palcie letniem (zimowe miał w lombardzie). O tem, że się po nieboszczyku otworzył wakans

mieszkaniowy, dowiedział się Dzizio od dalekiej kuzynki Biedackiego, na Powązkach.

Wziął — i pojechał.

Punkt był dobry, w śródmieściu, kamienica — niczego sobie.

Wdrapawszy się na czwarte piętro, bohater nasz nabrał tchu raz i drugi, poczem, przeżegnawszy się szybko, zadzwonił.

Za drzwiami rozległo się niebawem szurganie pantofli i niemłody już — ale i niestary — głos niewieści zapytał:

— Kto tam?

Dzizio wylegitymował się przez łańcuch — i tu był początek końca!

— Pani dobrodziejka darować raczy, że ja tak nieufnie... Tak, być może, do pewnego stopnia brutalnie i obcesowo...

— O, nic nie szkodzi.

— Bo ja, proszę pani dobrodziejki, bardzo wiele nieszczęść przeszedłem i ostatnio mi się charakter nawet popsuł... Ale, jak Boga kocham, zaręczam, że jestem uczciwym człowiekiem, i że do-tychczas — nigdy ja — tylko mnie — — —

— Widzę, że pan jest nerwowy.

— O, właśnie, pani dobrodziejko!

— Niech mnie pan, proszę, nie tytułuje panią dobrodziejką. Nie lubię tego! Proszę mnie już lepiej tytułować panią doktorową.

— Stokrotnie przepraszam, pani doktorowo!

— Niema za co.

— Więc mogę mieć nadzieję, że pani dob... przepraszam stokrotnie! — że pani doktorowa raczyłaby ewentualnie?

— Zobaczę.

— Bo ja pani doktorowej najmniejszego ambasasu nie zrobię, słowo daję!

— Hmm...

— Byłbym niewymownie wdzięczny...

— Jutro panu odpowiem.

— Nigdy nie zapomnę!

— Komorne zgóry.

— Tak jest! Naturalnie! Jakżebym mógł — —

— I żadnych wizyt.

— Samo przez się...

Taka była ich pierwsza rozmowa — i ostatnia.

Nazajutrz po wpłaceniu pieniędzy dowiedział się nagle Dzidzio rzeczy strasznych... Doktorowa Kafrowa nie dała mu przyjść do słowa, pokwitowania nie wydała, wchodzić frontowem wejściem zabroniła, używać wanny (czytaj: balji!) nie po-

zwoliła. Wyrzekła tylko głosem, krew w żyłach mrozącym:

— Mężczyzn znam dobrze i wiem, że są wszyscy łajdacy, i że, jak się słaba kobieta nie broni, to wszystką krew wypiją i nawet dziurki nie zostawiają, tak! Więc niech pan sobie nie wyobraża, ażebym się pozwaliała teroryzować za te nędzne 75 złotych miesięcznie! Mąż mój, nieboszczyk, był w gruncie rzeczy zacności człowiek, ale go, nie-ponia, paraliż tknął za moje krzywdy i łzy wylane... Potem, ktokolwiek tu mieszkał z lokatorów, ot, chociażby ten ostatni pański koleżka, birbant i rozpustnik, co to w suchoty wpadł, samo chcąc, i skończył w Otwocku, jak na to zasłużył — — — wszyscy chcieli mi swoje fumy pokazywać! Ale nie dali rady! Kobieta bezbronna jestem, samotna, ale swój rozum mam!

Zakołysał się brzuch baby, zadrgał groźnie podbródek, Dzidziowi zaczęło się nagle ćmić w oczach...

Uzupełniła:

— Ja pana tylko ostrzegłam.

Zaciął się w niemej rozpaczycy Dzidzio, zaniemówił. Nocami gryzł poduszkę, albo cicho szlochał. Nie o to mu chodziło, że wody gorącej mu nie dają, że w piecu nie palą, że się przyzwolicie umyć nie

pozwalają, że mu wstępu do kuchni zabraniają, że nim pomiatają, że go kopią — tylko o to, że się stał przestępcą!

— P r z e s t ę p c ą !

On, Inocenty Dzidzio, referent w ministerjum ogólnych celów, człowiek niegdyś niewinny, jak dziecko, czysty jak śnieg i łagodny jak jagnię...

Bo, zanim człowiek cios śmiertelny zada, zanim dłonie we krwi bliźniego ubroczy — już wie za-
zwyczaj zgóry, że zabije.

Dzidzio wiedział...

Przyszło to na niego tej samej nocy, kiedy go Kafrowa zmieszała z błotem, udając się na spoczynek, po znanej rozmowie.

— Ja tę babę zakatrupię!

I zakatrupił....

— O, męko...!

IV.

Czy zauważyliście światło na Wspólnej, na 4-em piętrze pod numerem 236-ym?

To tam....

To tam się stało.

Dzidzio wytańcowuje po opustoszałym mieszkaniu od dwu tygodni.

Nago.

Że Kafrowa służącej przez skąpstwo nie trzymała, i że teraz, w porze letniej, wszyscy myślą: „wyjechała“ — nie niepokoi Dzidzia nikt: ani dozorca domu, ani policja.

Szofer, który z nim jeździł do Konstancina, o nim nie pamięta, bo się przecież pamiętnego wieczoru kompletnie urzął.

Bełkot Dzidzia, plusk kosza... Wszystko zatarł alkohol.

Dzidzio mieszka nareszcie!

Mieszka! Sam! We własnem mieszkaniu!

Oczywiście, zaniepokoi się któregoś dnia ministerjum ogólnych celów.

Oczywiście, pośle dowiedzieć się o urzędnika, który się tak zaniedbał.

— Czy chory? Czy wyjechał z Warszawy?

Oczywiście, zawiozą Dzidzia wreszcie do szpitala Jana Bożego...

Ciekawe, jak też nazwą po łacinie formę straszliwego obłądu, uwieńczonego ponurą zbrodnią?

Ciekawe, jak też nazwą po łacinie skira mieszkaniowego, który stoczył tego człowieka...?

POSTANOWIENIE KSIĘCIA STEFANA.

(Rzecz dydaktyczna.)

Prolog.

Gorący, lipcowy dzień ma się ku schyłkowi. Stolica poprostu omdlewa z upału. To też istnem dobrodziejstwem jest miły chłód, panujący w przestronnej czytelni KLUBU BŁĘKITNEGO, zajmującego wytworny pałacyk w dzielnicy X, przy skrzyżowaniu arystokratycznej ulicy Y z niemniej arystokratyczną ulicą Z.

Większość klubmanów porozjeżdżała się już do swoich majątków, albo do wód krajowych, albo zagranicę. Przy dużym, okrągłym stole, zawalonym dziennikami i ilustracjami, siedzi w tej chwili, popijając orzeźwiającą, truskawkową bowlę, tylko trzech panów.

Są to: baron A, hrabia B i księżę C.

Dziwnym trafem wszyscy trzech gentlemani są kawalerami.

Z niejaką melancholją wpatrują się w sufit, roz-

myślają nad tem, że ich w domu nikt nie czeka, pociągają małemi łykami mrożony napój — i milczą.

Przydługie, trochę już żenujące milczenie, przerywa w pewnej chwili baron A, niezwyciężony czempjon bridgea (wagi piórkowej):

BARON — Doprawdy, są momenty, w których moje starokawalerstwo dokucza mi porządnie!

HRABIA (słabszy w bridge'u, zato nie zrównany na stanowisku: strzela bez pudła) — Uhm...

KSIAŻĘ (najmłodszy z nich, zaledwie 40-letni mężczyzna, piękny i ironiczny) — Każdy z nas miał zapewne dobre racje, dla których się nie ożenił.

BARON — Ba! (Zapala papierosa.)

HRABIA — Niewątpliwie!

(Pauza.)

BARON — Hrabia był zaręczony?

HRABIA (mruży z przyzwyczajenia lewe oko) —

Raz.

BARON — A książę?

KSIAŻĘ (uśmiecha się) — O tem kronika milczy.

BARON (z westchnieniem) — No, to rekord do mnie należy.

HRABIA (mruży lewe oko) — Ile razy Pan się zaręczał?

BARON (j. w.) — Pięć razy!

KSIAŻĘ (ziewa dyskretnie) — Mój nadleśny mawia: do trzech razy sztuka. Ale spłodził, o ile mi wiadomo, dziewięćcioro dzieci.

HRABIA — Serja.

BARON — Totus?

KSIAŻĘ — Owszem. Jego żona spodziewa się w tych czasach konsolacji.

BARON — Tak. Oni są płodni.

KSIAŻĘ (ziewa dyskretnie) — Jak króliki.

(Pauza.)

BARON — A gdybyśmy tak, dla zabicia czasu, opowiedzieli sobie wzajemnie, dlaczego zdecydowaliśmy się raczej uschnąć w starokawalerstwie, niż wstąpić na kobierzec małżeński?

HRABIA — Dobrze. Kto pierwszy?

KSIAŻĘ — Wnioskodawca!

BARON — Bon. — Ja miałem osobliwego pecha. Zaręczałem się, jak już wspomniałem, pięć razy, ale zawsze w ostatniej chwili coś nam stało na przeszkodzie!

HRABIA — Nie szła baronowi karta?

BARON — Nie! (chrząka) — Pierwszą moją narzeczoną ugryzł pokojowy piesek, skutkiem cze-

go, najniespodziewaniej w świecie, straciła palec, na którym się zwykle nosi obrączkę... Jej ojciec, wielki tradycjonalista, orzekł, że w tych warunkach o ślubie nie może być mowy.

HRABIA — I zwrócił panu słowo.

BARON — I zwrócił mi słowo.

KSIAŻĘ (puszcza kłęb dymu) — Raz.

BARON — Z drugą narzeczoną miałem także wyjątkowego pecha: dziewczyna jeździła konno, jak amazonka, ale razu pewnego, biorąc głupi rów, upadła z koniem i dostała szoku... Ubrdała sobie, że baronową nie będzie, tylko co najmniej księżną! Oczywiście, zerwałem z nią.

KSIAŻĘ — Dwa.

BARON — Trzecia kochała mnie bardzo i była wyjątkowo ładna, ale jej ojciec miał jedną grubą wadę: zawsze ciągnął do piątki! Z ładnego majątku i dwóch kamienic w Warszawie został, po kilku latach takiego głupiego systemu, tylko zadłużony folwarczek...

HRABIA — Uhm...

BARON — Prawda...? Cóż było robić? Musiałem się dyskretnie wycofać!

HRABIA — Jak zareagowała?

BARON — Z początku mocno. Teraz robi ba-tiki.

HRABIA — Biedna!

BARON — Czwarta moja narzeczona zakochała się, w przeddzień naszych oficjalnych zaręczyn, w moim trenerze. Był skandal. Uciekła z nim do Anglii.

KSIAŻĘ — Trzy, cztery. — A pięć?

BARON — Ostatnia, najurodziwsza ze wszystkich, dostała któregoś dnia bzika na punkcie filmu. Postanowiła zostać kinową artystką i postawiła mi za warunek, że pobuduję dla niej wytwórnię... Byłbym się może na ten kaprys zgodził, ale szczęśliwy traf zrządził, że, zanim zdążyła zdystansować Polę Negri, zdradziła mnie nieostroźnie z jakimś kabotynem. Voilà!

(Pauza.)

HRABIA (pociągawszy tęgi łyk) — Ja miałem tylko jedną narzeczoną. Ale to się szybko zerwało. Panna była dorzeczna, coś kiedy o polowaniu z nią — ani gugu! — Przyjechałem do nich w kwietniu, na ciągi wiosenne, poszliśmy na groblę — a ta stoi przy mnie i wciąż trajkoce! Pierwszy raz w życiu spudłowałem... Słonkę, myślicie? — Djabła tam słonkę. Kaczora! Potem, chociaż już trochę ochłodziłem, przyjeżdżam w lipcu, na podloty. Siedzę z nią w łódce, pies chodzi po trzcinach, aż miło — a ona raptem o literaturze! Djabli

mnie wzięli! — Kwakanie najcudniejsze, niczem Chopin — a tu się odgryzaj: — Czy pan lubi Romain Rollanda? — Niech go djabli porwą! — Kiedy wreszcie we wrześniu, w kartofliskach, zepsuła mi w oczach całego sąsiedztwa pierwszy dublet do kur — a na zimowem pędzeniu, na wymarzonem stanowisku spłoszyła dzika, który szedł na mnie jak anioł — powiedziałem ojcu panny: „Jestem zagrożony chorobą nerek, mam 20 proc. białka...” — pannie: „Au revoir!” — i pojechałem na pół roku do Zasławskich na Polesie...

BARON — Słusznie!

KSIĄŻĘ — Bardzo słusznie!

(Pauza.)

HRABIA (sentencjonalnie) — Albo się poluje, albo się nie poluje.

(Pauza.)

BARON — A teraz książę.

KSIĄŻĘ (ziewnął po raz trzeci) — Czy koniecznie?

BARON — Koniecznie!

HRABIA — Mais oui, cher prince. — Najprzód, należy nam się teraz pańskie opowiadanie, kiedyśmy już tak szczerze wypaproszyli nasze sercowe wspomnienia. A po drugie, jest jeszcze bar-

dzo wcześniej... Jeżeli teraz wrócimy do domów, zwarzujemy z nudy.

KSIAŻĘ — A więc zgoda. Tylko uprzedzam cię, drogi hrabio, że w tem będzie trochę literatury, niestety... Mój wypadek jest zupełnie literacki.

HRABIA (skłonił się zlekka) — Parfaitement!

BARON — Mam wrażenie, że opowiadanie księcia będzie najciekawsze!

KSIAŻĘ — Nie wiem... (opiera głowę na dłoni)
— Być może...

(Pauza.)

— Zaczynam. Tytuł tej nowelki:

„W WAGONIE“.

(To, cośmy powyżej przeczytali, to był PROLOG. Prosimy zatem 3-ch panów, opowiadających sobie to-i-owo przy stoliku, apostrofy: „Cher prince“ i „Cher baron“, tudzież nieuchronne „Parfaitement“ — położyć na karb tradycji, uświęconej zwyczajem. Osoby, nie uznające literackich tradycji, prosimy, aby uważały PROLOG za niebyły i zechciały czytać od tego miejsca).

Pociąg do Wiednia odchodził o 11-ej minut 5, ale książę Stefan znalazł się na dworcu kolejowym znacznie wcześniej. Nuda krakowskiej kanikuły

była zbyt przytłaczająca, żeby móc wysiedzieć w „Grandzie“. To też na jakieś pół godziny przed jedenastą książę stanął na peronie.

Rozejrzał się naokoło z wyrazem niewypowiedzianego obrzydzenia. Zaduch brudnego dworca, kwaśny osad dymu, rozprażonego w upale tej gorącej nocy, irytował go nieznośnie.

— Czy książę pan siądzie zaraz do wagonu? — zapytał księcia towarzyszący mu strzelec.

— Tak.

— Słucham!

Dwie walizy angielskie (o, ironjo sąsiedztwa!) znalazły się niebawem na siatce przedziału I-ej klasy. Obok książęcych waliz leżały tam jeszcze czyjeś bagaże: torba w kwiaty, śmiesznie prowincjonalna („Bochnia“ — pomyślał książę Stefan), i neser w futerale płóciennym, haftowanym czerwonymi krzyżykami („Wieliczka“ — skrzywił się książę Stefan).

Strzelec spojrział na księcia pytająco.

— Możesz iść!

Szara, liberyjna kurtka i kapelusz z kitką wyprężyły się służbiście, poczem młoda, osmyczona głowa mignęła na peronie.

Książę spojrział wślad za służącym.

Westchnął.

— Takiemu to dobrze — pomyślał — wróci teraz do hotelu, przebierze się w moje ubranie, pójdzie na A—B i będzie udawał bogatego cudzoziemca... I na pewno jakaś dziewczuszka się nawinie! Bo to fakt stwierdzony: my, arystokracja, musimy szukać ludzkiej twarzy aż w Wiedniu. A taki obwieś w y f i l u j e sobie s z a c a dwa razy prędzej, nie wyjeżdżając z Krakowa...

Księżę zapalił papierosa i rzucił niechętne spojrzenie na prymitywy, leżące na siatce.

Był zły.

— Na pewno jakieś czupiradło ze mną jedzie!

„Czupiradła“ jakoś długo nie było widać. Peron wypełniał się powoli. Do wagonów gramolili się różni ludzkowie, przeważnie dosyć nieciekawi. Widać było po minach, że ta Galicja i Lodomierja wysiadzie przed Oderbergiem.

Księżę wychylił się z okna. Zegar kolejowy wskazywał 11-tą minut 3.

— Za dwie minuty odjazd.

Usiadł.

Znowu, zupełnie mimowoli, spojrzał na okropne manatki, spoczywające obok jego pięknych waliz.

— Pewnie babsko w bufecie kawę pije.

Potem ziewnął bezceremonjalnie.

— Dałby Bóg, żeby się spóźniła! Straszna rzecz tłuc się całą noc bez sleepingu i, w dodatku, z jakąś aptekarzową...

Ale w tej samej chwili, z pracowitego tupotu nóg, zwiastującego bliski odjazd, z bieganiny i hałasu pasażerów, śpieszących się do wagonów, wyłowił książę czujnem uchem kroki czyjeś, do tego stopnia szybkie i lekkie, że raczej podobne do muzycznego pasażu, albo do — — — — ?

Wyrżał.

Peronem szła, prawie biegnąc, młodziutka, zgrabna kobietka, prosto na wagon księcia.

Śliczna!

Odrazu stwierdził, że śliczna. Bo tylko śliczna kobieta, śliczna cała, zgrabna cała, zdradza się swoim ruchem, sposobem chodzenia, a l l u r e m — zdaleka — zanim jeszcze oczy dopowiedzą resztę.

„Reszta“ nie dała na siebie długo czekać. Uniesiona śmiało (może nazbyt śmiało?), zaszeleściła sukienka — mignęło na stopniu wagonu coś bardzo strzelistego i cielistego — małe (dojrzał!) rączki w szwedzkich rękawiczkach podrzuciły sprężyste tors — wionęła młodość przez trzy stopnie odrazu — i, nim minęła sekunda (książę na-

liczył podczas tej sekundy 12 drobnych kroków w kurytarzu — tempo: prestissimo) — dama stanęła we drzwiach.

Księżę dotknął zlekka kapelusza a nieznajoma — frunęła do okna. Frunęła do okna, nie mówiąc „pardon“! Dotknęła w bezceremonjalnem przejściu kolan księcia, nawet się bodaj, z szalonego pośpiechu, zatoczyła...

I znienacka opadła na parapet okna, zalewając się potokiem łez!

Księżę Stefan odwrócił litościwie głowę w inną stronę, nie chcąc być niedyskretnym świadkiem.

Jegomość w czerwonej czapce skinął, pociąg ruszył.

I raptem, roztrącając służbę i publiczność, wypadł z poczekalni dworcowej, jak wyrzucony z kaptuły, młody oficer. Dwoma susami znalazł się przy wagonie. Wyciągnął olśniewająco urękawicznione dłonie. Wspiął się na palcach, załkawszy ostrogami, jak najcudniejszy austriacki Lohengrin. —

Księżę zeznał w tym momencie mimowoli: scena była fascynująca.

Z pociągu, który sunął już wcale szparko, wiosna płacząca wychyliła się cała...

Rękawiczki, zzute w okamgnieniu, frunęły zmięte. w kąć coupé — nagie dłonie kobiece wyciągnęły się do oficera — do ust, ukoronowanych blond wąsikiem — (Es ist erreicht!) — trochę w tej chwili stulonych w ryjek.

— Wieczorny ra—port — mnie za — trzy — ma! — wykrztusił zdyszany wojak, poczem odpadł od tych miękkich rąk, szarpnięty wtył przez kolejowego żandarma.

Pociąg rwał coraz szybciej...

Nieznajoma wychyliła się jeszcze bardziej. („Jak będzie leciała“ — myślał gorączkowo książę Stefan — „chwyć ją za rękę... Nie, za rękę nie zdążę... Chwyć ją za nogę... Nie, może się wyślizgnąć... Chwyć ją wpół!“)

— Szalet.

— Słup.

— Zwrotnica.

— Budka.

— KRAKAU.

— Zwrotnica.

Młoda kobieta upadła na poduszki wagonu, zasłaniając sobie oczy rękami.

Plakała, jak małe dziecko... Książę Stefan odwracał się dyskretnie.

Pociąg rozpędził się, jak należy, i huczał w noc.

Oczywista, niewieścia niedola może roztkliwić nawet krokodyla.

Młody panicz jechał do Wiednia bardzo spragniony przygód i nastrojony wojowniczo, ale tyle naraz łez, wylanych przez nieznajomą, stonowało w nim „myśliwską“ żyłkę, drgającą w każdym rasowym mężczyźnie od stworzenia świata — (tem bardziej, po suchedniach krakowskich...) na widok okazji.

— Biedactwo... Taka spłakana...

Litował się nad łkającą w kąciку towarzyszką podróży, szczypiąc się jednocześnie w dłoń... Bo go aż coś porywało, żeby tak wyskoczyć z wodą kolońską, proszkiem migrenowym, czy innym ba-nałem — i wdać się w rozmowę! Bo ładna ta płak-sa! — (Aj, ja-jaj, jaka szelma ładna....!)

— Szkoda!

Księżę Stefan sypiał wogóle czujnie, a w danym wypadku spał szczególnie lekko, gdyż obecność damy w przedziale nie pozwoliła mu na żaden negliz. Musiał jednak zdrzemnąć się sekundę nieco dłuższą przed Boguminem, bo, gdy otwarł oczy, oślepienie blaskiem peronowej latarni, spo-

strzegł ze zdziwieniem, że jego towarzyszki w przedziale niema.

Usiadł na kanapie, odrzuciwszy pled. Przetarł oczy.

— Czyżby wysiadła? Chyba nie, miała przecież jechać do Wiednia...? A może się przesłyszał przy kontroli biletów...?

Rzut oka na siatkę przekonał jednak księcia, że nieznajoma nie wysiadła. Śliczna torba w kwiaty i nieopisany, a raczej już opisany, neseser w pokrowcu à la Madame Bovary jeune mariée — znajdowały się na dawnym miejscu.

— C'est ça! — pomyślał: — Jest w toalecie, albo pije na dworcu limonjadę. Wstał, przeciągnął się i zrobił krok w stronę drzwi przedziału.

— ?

Skamieniał.

W kurytarzyku jedno okno było zupełnie spuszczone — i przy tem oknie, złamana w tragiczny znak zapytania, stała Śliczność z chusteczką przy oczach...

Znowu płakała!

Książe stwierdził, osłupiały, że jego towarzyszka podróży znowu na kogoś najwidoczniej czeka. Że się szalenie niecierpliwi. Że jest zrozpaczona!

— Tragiczna jakaś rodzina! — zdziwił się książę Stefan. — W Krakowie miała rozdzierające pożegnanie z narzeczoną, czy kochanką, a teraz wygląda napróżno brata...? Ojca...?

Młoda kobieta roniła łzy. Roniła łzy czyste, rzęsiście, z profuzją, jak wiosenna, ciepła chmura, zraszająca bezboleśnie kwitnący sad...

Mała, stroma pierś, zarysowana pod bluzeczką, dyszała często i nerwowo. Rączki miały mokrą chusteczkę. Oczy błędziły rozpacznie po peronie...

Gdy dano sygnał odjazdu, Niobe drgnęła, jak raniony śmiertelnie ptak.

Sądzone było jednak księciu przeżyć tej nocy jeszcze jedno wzruszające pożegnanie: potrącając wózek z piwem, karambolując się z panem zawiadowcą w czerwonym czaku, czyniąc okrutny brzęk orężem, wleciał w tej chwili na peron ułan, mierzący bezmała dwa metry!

— Hans!!!

Na owo „Hans“!!! ułan zrobił pirueta, wgapił się w wagon I klasy, wydał jakiś okrzyk, zaczęł rzucić się w stronę, skąd go dobiegł luby głos. Wspiął się na palcach (przyszło mu to dosyć łatwo) — i wpił się ustami w łapięta, wyciągnięte ku niemu. Książę cofnął się energicznie, zasuwając firankę.

— Nie, to nie brat.

Załomotały bufory, c. k. lokomotywa sapnęła rozgłośnie. Neser nieznajomej trącił łokciem arystokratyczną walizę ze świńskiej skóry. Torba w kwiaty mrugnęła porozumiewawczo.

— He?

Kiedy pociąg dojeżdżał do Wiednia, wyszło słońce z za chmur (krótco przedtem nad miastem przeciągnęła wczesna, letnia burza, cudownie orzeźwiająca), i uczyniło się cudnie.

Księżę Stefan stał w kurytarzu przy oknie, i spoglądał z pod oka na swoją dziwną sąsiadkę z przedziału.

Przedtem pomógł jej był zdjąć z siatki owe efekta podróżne i otrzymał w podzięcie roztargnione:

— Merçi...

Stał przy oknie, podpatrując ukradkiem młodą kobietę — a ona, jeszcze trochę rozespana (bo po Boguminie zasnęła, jak niemowlę) i różowa (bodaj to młodość!), pudrowała sobie nos.

Wesoło i hulaszczco zadudniły koła pociągu. Maszynista gwizdnął po kawalersku, zazgrzytały hamulce...

Niebieskie bluzy p a k e r ó w wyroiły się na spotkanie podróżnych.

Wiedeń, słodki Wiedeń, roześmiany tego ranka

w kołysce dalekich niebieskich gór, wyciągnął do przybywających serdeczne ramiona.

Księżę obejrzał się na towarzyszkę: stała wciąż przy oknie. Chciał ją pożegnać ukłonem. Właśnie podnosił rękę do kapelusza.

— Geza!!! — zaświergotał nagle czysty sopran kobiecy: — Géza!!!

Czarny jak kruk, wyszamerowany jak bóstwo, huzar węgierski zasałutował szarmancko, całując ręce pani z I-ej klasy.

Księżę Stefan osłupiał...

— Trzeci???

W błękitnych oczach kobiecych były znowu łzy. Zdaje się, że niemniej szczere od łez, wypłakanych w Krakowie i Boguminie. Wychylona z wagonu, witała się z urodziwym Węgrem, cała zapłoniona...

Takie powitania mają to do siebie, że trwają dosyć długo. Więc księżę, trochę zniecierpliwiony, rzucił tylko krótkie „Pardon, Madame!“ — i chciał przejść za p a k e r e m, do wyjścia.

Oczy damy musnęły księcia przelotnie z uprzejmą obojętnością — w tej samej chwili jednak, przypadkowo, odkryły dwie dyskretne mitry na dwu walizkach ze świńskiej skóry. -

Odkryły — i zdziwiły się poważnie. Nawet jakby zasmuciły...

Coś, jakgdyby spóźniony żal, odmalowało się na ślicznej twarzy młodej pani. Refleksja:

— Mitry...?

I spłoneęła cała rumieńcem, odpowiadając na poprawny, trochę suchy, ukłon księcia. Skinęła główką prawie pokornie. Posłała za odchodzącym króciutkie spojrzenie, pełne ubolewania.

Mogło to znaczyć:

— Gdybym była wiedzała...

Przy rannej kawie, w Imperjalu, księżę Stefan zadumał się głęboko. Popijał machinalnie pyszny *café-mélange*, chrupał w roztargnieniu najslawniejsze na świecie rogaliki — i deliberował nad czemś...

Tego ranka dał sobie słowo honoru, że się nigdy nie ożeni.

LIST Z OPLATKIEM.

Jego matka nie wiedziała o niczem.

Jego matka nie wiedziała o niczem, bo zaraz po tej fatalnej historii, (która zdarzyła się, na szczęście, w lecie, podczas pobytu staruszki na wsi) otoczyli ją krewni najczulszą strażą.

Wiść o aresztowaniu Jana Sarbiewskiego dotarła do Złotorji zupełnie przypadkowo, przez gazety, otrzymywane w tym kresowym dworze z kilkodniowem opóźnieniem. Pierwsza wyczytała ją pani Złotorska, ale poprostu nic nie zrozumiała: takie to było nieprawdopodobne — i dzikie w całym nieprawdopodobieństwie — i potworne!

— Co tutaj piszą o Janku Sarbiewskim? — zapytała męża, mrugając nerwowo powiekami — O jakimś Banku Południowym, o czeku, o...

— Pokaż?!

Pan Adam wziął z rąk żony gazetę, ale, ledwie rzucił wzrokiem na pierwszą kolumnę i przeczytał kilka wierszy, zbladł.

A potem stopniowo zaczął nabierać kolorów...

Od policzków do wąskiego pasa na czole, oszczędzonego przez lipcowe słońce; od samej szyi, opalonej na brązowo, do szpakowatej czupryny — oblał go szkarłat.

Chociaż miał na sobie miękki, niski kołnierzyk, podniósł dłoń porywczo do krawata, jakgdyby się dusił...

A wiadomość brzmiała dosłownie tak:

Z OSTATNIEJ CHWILI.

„W momencie oddawania numeru na maszynę, otrzymaliśmy sensacyjną wiadomość o decyzji sędziego śledczego, której mocą zastosowano środek prewencyjny w stosunku do Jana Sarbiewskiego, jednego z dyrektorów Banku Południowego. Pozostaje to w związku z ujawnionymi w ostatnich dniach nadużyciami, o których głucho mówiono na mieście. Dowiadujemy się również, że w godzinach popołudniowych wypłynęła dodatkowa sprawa czeku, wystawionego przez dyrektora Sarbiewskiego, opiewającego podobno na znaczną sumę, ale nie mającego pokrycia...”

Po okropnej, bezsennej nocy, podczas której pani Marja wyplakała chyba wszystkie swoje łzy, a pan Adam (nie umiejący płakać, ale bodaj jeszcze tragiczniejszy) wychodził wszystkie kąty w ogromnej kancelarii, stanął pakt...

Że się przed ciotką Sarbiewską, matką Jana, wszystko zatai. Że się najsurowiej zapowie służbie, aby wszelkie druki, wszelką korespondencję, niosła do kancelarji dziedzica. Że się dołoży starań, aby nieszczęśliwa matka Jana nie miała styczności z oficjalistami i gośćmi Złotorji. Że się schorowaną, dobrą kobietę otoczy wszystkiemi możliwemi wygodami. Wreszcie: że się jej nie wypuści z głuchej Złotorji, że się jej za żadną cenę nie pozwoli wracać do Warszawy, chociażby trzeba było użyć podstępu...

Po rozmowie z żoną wyjechał pan Złotorski wczesnym ranem do Warszawy.

Chociaż to było mało prawdopodobne, żeby wiadomość o aresztowaniu kuzyna żony mogła dotrzeć do miasteczka, i chociaż, w razie ewentualnego dotarcia fatalnego dziennika, niktby na pewno nie domyślił się, że straszny cios trafił właśnie państwa Złotorskich — jechał pan Jan przez to swoje miasteczko, jak skazaniec.

Wydawało mu się, że każdy napotkany na rynku żydek, kłaniający się nisko, wie. Że wie Szpilman, faktor, i Szwarebrod, kupiec zbożowy, i Zamojski, handlujący końmi, i Goldman, właściciel jedyne go w miasteczku zajazdu.

Że wszyscy wiedzą.

Że szepcą między sobą:

— Tsss... Tsss... Co się dzieje! Co się dzieje! Pisało w gazetach, że kuzyn dziedziczki ze Złotorji, pan Sarbiewski, syn tej starej jaśnie pani, co latem przyjeżdża do Złotorji — (ona jest ciocia naszej jaśnie pani) — siedzi w kryminale! — Tsss... Tsss...

Jechał pan Złotorski przez rynek szparko, bo miał dobre konie i furmana, co lubił te konie pokazać (osobliwie przed Zamojskim!) — a przecież zdawało mu się, że jedzie pomału...

Potem, na gościńcu, trochę odetchnął. Owiał go rzeźwy wiatr i zapach zbóż. Ale, po godzinie jazdy, zbliżając się do stacji kolejowej, znowu cały z obrzydliwego lęku spotniał.

— A co, jeżeli spotka się w pociągu z którymś z bliższych sąsiadów, znających jego koligacje familijne? Albo z dziekanem, który lubi wiedzieć, jak trawa rośnie? Albo z doktorem?... Doktor żadnej gazecie nie przepuści!

Na szczęście, nie spotkał żadnego znajomego. Wsiadł ukradkiem do przedziału 1-ej klasy (oczywiście, zupełnie pustego), zasunął w oknie firankę — i zamknął oczy...

Tydzień cały nie było pana Adama w domu, choć się już zaczynały żniwa.

Ano prawda, że na samą drogę tam i zpowrotem ze Złotorji do dalekiej stolicy i z Warszawy do Złotorji trzydziestu sześciu godzin potrzeba.

Polska jest wielka... Całe szczęście, że taka wielka!...

Wrócił niepodobny do siebie, wychudły i nagle postarzały.

— Ano cóż? — rozpoczął swój raport, zostawszy po wieczery sam na sam z żoną: — Wszystko tak, jak pisali w gazetach... Siedzi.

— Jezus Marja!

— Siedzi. Dotrzeć do niego nie mogłem, bo śledztwo trwa, ale ci powiem, Maryniu, że nawet bym nie miał siły z nim rozmawiać.

— Za co właściwie?...

— Za spekulację giełdową bankowemi pieniędzmi, za rachunek onkolowy bankowym kredytem...

— Co to jest, Adasiu, onkolowy?

— Kiedy indziej, dziecko...

— A z tym czekiem?...

— Prawda. Potwierdził jego adwokat.

— Wystawił?

— Wystawił! Wiedział, że nie będzie miał pokrycia, ale wystawił! Nie wiem, na co liczył...

Przecież dziecko nawet wie, że to na 24 godziny sztuka... Ano, stracił głowę kompletnie... Zarzął się!

— I cóż ty o nim... Adasiu...

— Cóż? Złodziej!

— Adasiu...

Ten cichy, cichutki szept: „Adasiu“ zerwał jakąś tamę, czy otworzył tajny jaz w duszy pana Adama. Zatrząsł się. Złapał za głowę, oburącz. Wyprostował. I wybuchnął.

— Złodziej! Złodziej! Szubrawiec ostatni! Na nazwisko nie miał względu, to powinien był mieć wzgląd na starą matkę! Łotr! Łajdak! Kanalja podła! Żeby się ciotka Sarbiewska dowiedziała, toby jej serce pękło, biedactwu! Ładny ananas, taki syn! Ładny dyrektor banku! Jeszcze ludzi pozarywał, wiesz? Tak! Pozarywał! A na co poszło? Na dziewczki!!!

— Adasiu, na miłość Boską — usłysz! —

Dopiero teraz urwał pan Adam. Usiadł ciężko przy biurku, oparł głowę na dłoniach, oczy zasłonił palcami.

I zobaczyła pani Marja coś, czego jeszcze nigdy nie widziała...

Jej mąż płakał.

II.

Czujna straż czujną strażą, a paniczny, nieustanny strach — strachem.

Roztoczyli oboje państwo Złotorscy misterne sieci, w które z matematyczną pewnością powienien był wpaść każdy niepożądany odgłos, każde echo warszawskie, każda niedyskrecja, czy niedelikatność otoczenia...

Ale mimo to truchleli. Truchleli, chociaż dzieci były jeszcze małe, a mademoiselle nie rozumiała prawie wcale po polsku. Truchleli, chociaż wszystkie druki cenzurował osobiście pan Adam. Bo wiedzieli, że zła nowina leci jak wiatr i przesiąka jak oliwa...

Narazie jakoś, dalibóg, wszystko szło składnie.

Stara pani Sarbiewska, przyzwyczajona do tego, że jej syn pisuje bardzo rzadko, nie niepokoiła się narazie brakiem wiadomości. Przypuszczała, że jest zapracowany przed wyjazdem na urlop, i dlatego tak długo milczy.

Wiedziała zresztą, że Janek nosił się z zamiarem wyjazdu do Biarritz z końcem lipca, i sądziła, że otrzyma od niego któregoś dnia list, opatrzony francuskim stemplem.

Zwierzyła się nawet któregoś dnia pani Marji ze swoich nadziei:

— Ten niedobry Janek pisuje coraz rzadziej... Ale wiem, że mnie bardzo kocha! Na pewno dostanę list z Biarritz!

Kiedy to mówiła, uśmiechała się pogodnie.

Jej siostrzenicy zaś — zrobiło się gorąco.

Spojrzała ukradkiem na ciotkę. Ogarnęła jednym spojrzeniem jej siwą głowę, szczupłą, wątłą postać — i pomarszczone ręce, drgające z każdym dniem coraz widoczniej...

I serce jej ścisnęło się boleśnie na widok tej bezbronnej siwizny i tych słabych rąk, niegdyś podobno tak pięknych...

Po chwili staruszka odezwała się jeszcze raz:

— Mogłoby się zdawać, że mój Janek ma oschłe serce... A czy wiesz, kochanie, że jak jesteśmy razem, w Warszawie (to prawda, że rzadko bywamy razem, bo biedak wciąż wyjeżdża w interesach bankowych!), to niema wieczoru, żeby nie przyszedł do mojego pokoju i nie ucałował mnie na dobranoc?... Czasem z drugiego końca miasta wpada, bodaj na minutkę, z konferencji jakiej... z Resursy... czasem nawet palta, z pośpiechu, nie zdejmuje, tylko tak... prosto...

Staruszka westchnęła — i skończyła szeptem:

— On ma właściwie złote serce!

Żniwa były w pełni, żar bił z nieba, jak z pieca. Cała Złotorja pociła się siódmymi potami, zwyczajnie jak na wsi. Po długiej, całorocznej kampanji, prowadzonej ze zmiennem szczęściem, staczano teraz walną, rozstrzygającą bitwę! Majątek rozbrzmiewał turkotami wozów żniwnych, dzwoeniem kos, warczeniem i klekotaniem wiązałek. Na jednych szlakach wykończano późne żyta, na innych sprzątano już jarzyny. Pan Adam był całe dnie na polu, pani Marja — w podwórzu. Ale nietylko dziedzice — i mademoiselle z dziećmi, i wszystko, co żyło we dworze — spędzało teraz długie godziny poza domem.

W którąś sobotę, wyjątkowo skwarną (burza wisiała w powietrzu!), raczył się pofatygować do stogów sam kucharz, najdumniejszy człowiek w Złotorji.

Ruszyło go sumienie: przy podwieczorku dziecko narzekał, że ma jeszcze dwa ogromne stogi do nakrycia, a rąk brak — przytem, jutro niedziela.

Więc pojechał na drabiniastym wozie kucharz, kuchcik i wszystek fraucymer dworski, na ochotnika!

Do stert. Snopki podawać.

We dworze została tylko pani Sarbiewska — i stary służący, Michał.

Jest jednak Opatrzność na świecie i jest czyjeś miłosierne serce, wążące nasze sprawy, tam, u góry...

...I gazetę podał starszej pani Michał, i list od adwokata, adresowany wprawdzie do pana Adama, ale opatrzoney drukowaną firmą...

Gdyby była przeczytała fatalną gazetę, byłaby pewnie — pierwszy raz w życiu! — rozerwała i tę kopertę... Cudzą....

Ale nie przeczytała ani gazety, ani listu...

Gdy o zmierzchu wrócili z pola państwo Złotorscy i weszli do salonu, spostrzegli w fotelu przy oknie śpiącą panią Sarbiewską, a przed nią, na srebrnej tacy, jak ją był położył służący, pocztę. Nietkniętą!

Schwycił gazetę i list pan Złotorski drżącą ręką — rzucił okiem na staruszkę — i wyszedł z salonu pośpiesznie, na palcach...

Znalazłszy się za drzwiami, uczynił wstydliwie znak Krzyża Świętego — i pokiwał dziwnie głową, jakgdyby się — razem — czemuś dziwił bardzo — i potakiwał...

A potem, zamknąwszy się na klucz w kance-

larji, usiadłszy przy wielkiem, zniszczonem biurku, wyjął z opaski dziennik stołeczny: wiedział, że to wszystko nie bez kozery.

Oczywiście, stało zaraz na drugiej stronie tłustemi czcionkami:

„Wyrok w sprawie b. dyrektora Banku Południowego, Sarbiewskiego!“

Niżej zaś, pod tym tytułem, wiadomość, że Jan Sarbiewski został skazany na rok więzienia.

Pisano jeszcze, że nadzwyczaj szybki przebieg śledztwa sądowego i krótki przewód w tej skandalicznej, a tak bolesnej....

Słowem: że Jan Sarbiewski przyznał się do wszystkiego, nie szukając wykrętów, że sądownictwo polskie zdało jeszcze raz egzamin, dając samym pośpiechem dowód, że niema tak wysokiego stanowiska... Że właśnie dlatego... Z powodu stanowiska podsądnego... Że wszystko sprawiedliwie załatwiono... Że słusznym żądaniom opinji stało się zadość!

List adwokata był trochę dziwny, ale wzruszający.

Mecenas donosił, że z polecenia swego klienta, p. Jana Sarbiewskiego, który z dniem dzisiejszym zaczyna odsiadywać karę, na wyraźne ży-

czenie tegoż klienta, wysyła oryginalny list Sarbiewskiego, adresowany do jego matki z Biarritz, do znajomego francuskiego adwokata; że ów adwokat, uproszony przez piszącego, włoży list Sarbiewskiego do innej koperty i wyśle go zpowrotem do Polski, adresując: „Złotorja — Anna Sarbiewska“ — a to wszystko w tym celu, ażeby pani Sarbiewska nie domyśliła się prawdy i trwała w przekonaniu, że jej syn odbywa kurację zagranicą. Umocni ją w tem przekonaniu stempel pocztowy.

Dalej donosił mecenas warszawski, że nie mógł odmówić prośbie p. Jana Sarbiewskiego, człowieka lekkomyślnego, ale, jak się zdaje, niesłychanie przywiązanego do matki. Informuje o wszystkim dlatego, bo był w swoim czasie poinformowany przez p. Złotorskiego o najdalej idących ostrożnościach, stosowanych w majątku Złotorji, mających na celu — zatajenie przed szanowną panią Sarbiewską bolesnej prawdy.

Kończył, oświadczając, że, o ile to od niego będzie zależało, uczyni wszystko, ażeby to kłamstwo mogło trwać jak najdłużej, i będzie wysyłał wszystkie listy swego klienta, pisane w więzieniu, j. w., do adwokata w Biarritz, celem przeadresowania ich do Złotorji.

W post-scriptum pisał jeszcze pocziwy mecenas, że zrzekł się apelacji na wyraźne życzenie klienta...

Pan Złotorski naradzał się z żoną długo, bardzo długo.

A potem, chociaż nie był praktykujący, ukląkł przy żonie w tej samej kancelarji, twarzą do okna, rozświetlanego raz po razie oczami błyskawic — i modlił się — żeby Bóg tej pocztowej tajemnicy dochował.

Szumiała ulewa...

III.

Nie trzeba było wysilać się na nadzwyczajny machjawelizm: choroba sama pomogła.

Wkrótce po otrzymaniu pierwszego, niezwykle pogodnego listu od syna, który nadszedł jakoś w połowie sierpnia, zaśląbla pani Sarbiewska i położyła się do łóżka.

Lekarz powiatowy zaopiniował, że chora ma bardzo wątły organizm i serce niezupełnie w porządku. Uspokoił jednak stroskanych państwa Złotorskich, że po sześćdziesiątce wąłość organizmu i niedomagania serca nie są zbyt groźne, choćby dlatego, że tak samo groźne są nieuniknione postę-

py sklerozy... i nadmierne upały... i zbyt ostre chłody... i wszystko...

Oczywiście, nie mogło być mowy o wyjeździe. Uproszony przez pana Adama eskulap powiedział pani Sarbiewskiej, że Warszawa zaszkodziłaby jej stanowczo, a przede wszystkim droga kolejną. Że pani Sarbiewska powinna leżeć w łóżku, zachować absolutny spokój i wogóle... A potem się zobaczy.

Nie było też zbyt trudno przekonać staruszkę, że няма właściwie pogo śpieszyć się do miasta. Janek zaczął w Biarritz jakąś kurację, wspomina w drugim swoim liście o kilkomiesięcznym urlopie z banku, więc zapewne zasiedzi się dłużej zagranicą...

— Wracać do pustego domu w Warszawie? Nigdy na to nie pozwolę! A cóżto, Złotorja? Wygnanie, czy pustynia? Ciocia zobaczy, spędzimy tutaj jesień sto razy przyjemniej, niż na Czackiego, chociaż w Złotorji няма dancingu!

Pani Sarbiewska wysłuchiwała tej apostrofy ze wzruszeniem, a wzmianki o dancingu — z uśmiechem.

Potem przymknęła oczy...

Staruszka szczupiała coraz bardziej i traciła siły,

ale była pogodna, a nawet wesoła. Chociaż długa rozłąka z synem kosztowała ją dużo, miała tę pociechę, że otrzymuje częste, wyjątkowo kochane listy! Bo trzeba przyznać, że Janek, zazwyczaj taki zajęty, nienawidzący dawniej korespondencji, w tym roku zupełnie się zmienił. Nie było tygodnia, żeby poczta nie przyniosła grubej, bardzo grubej koperty, popstrzonej znaczkami pocztowymi i stemplami — a w kopercie — długiej, wyczerpującej epistoły od Janka.

Przytem (choć to niedobrze, że kuracja tak długo trwa: widać sobie chłopak porządnie zdrowie nadszarpnął!) zawierał każdy list jakąś ciekawą nowinę, albo jakiś wesoły żart. Więc w jednym liście pisał, naprzykład, że zrobił bardzo interesującą wycieczkę na terytorjum hiszpańskie i widział walkę byków; w drugim liście donosił, że zaprzyjaźnił się z bardzo sympatycznymi Anglikami i podflirtowuje nawet z ich młodziutką, szesnastoletnią córeczką; kiedy indziej, zwierzał się matce, że wygrał w kasynie, w koniki, kilka tysięcy franków i że tak w tem zasmakował, że na przyszły rok, jeżeli Bóg da doczekać, musi się machnąć z mamusią do Monte-Carlo — i rozbić bank!

Zawierały jeszcze te listy tkliwe, wzruszające ustępy, z których było tyle ciepła, tyle synowskie-

go przywiązania, że pani Sarbiewska po każdym takim liście modliła się o zdrowie i pomyślność jedynaka, zalana łzami.

Ale to były łzy szczęścia...

Odpowiadała też radośnie, a że nie chciała martwić Janka listami, pisanemi ołówkiem nazbyt już niepewną ręką — uprosiła panią Złotorską, żeby ją wyręczała.

— Napisz, Maryniu, że sobie zmęczyłam stare oczy, haftując na słońcu, i że mi sekretarzujesz, kochana, z porady lekarza... A dodaj jeszcze, proszę, że jestem zdrowa jak rydz, boby jeszcze pomyślał, że zachorowałam naprawdę — i zaczął się martwić...

Listy do Biarritz, pisane odtąd ręką pani Marji, wędrowały utartym szlakiem: zamiast na pocztę — do kancelarji pana Adama, a stamtąd w opieczetowanej, zalakowanej na wszystkie strony kopercie — do kancelarji warszawskiego adwokata, który doręczał je, jak należy...

W końcu października pani Sarbiewska poczuła się nieco lepiej i zaczęła wstawać. Ale, że była jeszcze szalenie osłabiona, nie mogła marzyć o powrocie do Warszawy. Obiecywała to sobie na

Wszystkich Świętych (myślała właśnie o zaduszkach, bo miała dużo bliskich grobów na Powązkach), ale wyperswadowano jej, że to jest niemożliwe.

Dla odwrócenia jej uwagi od smutnych spraw, zaczęto przyprowadzać teraz codzien do pokoju dzieci: Staszka i Zosienkę.

Prawda, że było z tego trochę hałasu, który musiał nużyć babcię, ale na widok bąków ożywiała się zawsze...

Przyszedł listopad, pierwsze przymrozki i gruda. Na dworze było zimno, północny, ostry wiatr gwizdał przeraźliwie. Wyłoniła się znowu kwestja wyjazdu pani Sarbiewskiej. Siły jej jednak były widać coraz mniejsze. Nie nalegała zbytnio. Wysłuchiwała gorącej przemowy siostrzenicy, rozważnych perswazyj pana Adama — wzruszyła się serdecznie łzami dzieci, które zupełnie nie chciały się pogodzić z myślą o wyjeździe babuni — i zgodziła się, że zostanie jeszcze na Boże Narodzenie.

Prawdę mówiąc, wpłynął na tę decyzję głównie list od Janka, który pisał, że, mimo najszczerzych chęci, nie zdąży wrócić na Święta do kraju, nie ukończywszy jeszcze kuracji — i prosił gorąco, żeby matka została w Złotorji.

W tym liście, po raz pierwszy (pani Sarbiewska

dziwiła się trochę, dlaczego o nich stale zapominał?) był przypisek do państwa Złotorskich:

„Proszę Boga, żeby Wam policzył Waszą dobroć i serce!“

Pokazała go, uradowana.

— Nie macie do Janka żalu?

— O co, cioteczko?

— Że do was ani jednego listu nie napisał...

— Co znowu!

— Bo, widzicie, on był zawsze leniuch, jeżeli chodziło o korespondencję, a ostatnimi czasy tyle pisuje do mnie! Ale wiercie mi, że bywały przypiski... Tylko zapominałam... A może obraziliście się?...

— Ciotucho! Co też ciotuchna najdroższa!...

Temi czasy stan zdrowia pani Sarbiewskiej pogorszył się znowu. Wezwany powtórnie lekarz powiatowy orzekł, że... radzi konsyljum.

Więc złożono to konsyljum, sprowadzając z wojewódzkiego miasta doświadczonego specjalistę od chorób serca. Obaj doktorzy wysłuchali, wypukali chorą bardzo dokładnie, poczem, przeszedłszy do sąsiedniego pokoju, powiedzieli panu Złotorskiemu, rozkładając ręce:

— Ano — wiek, szanowny panie! Wiek!

Schowali do kieszeni papierki, wypili pośpiesznie herbatę — i odjechali.

IV.

Wigilja była wymarzona w tym roku. Śnieg i mróz. Iskrzyło się niebo. Noc dzwoniła na drzewach kryształkami sadzi. Wielkie, mroźne palmy, wykwitłe na szybach, migotały brylantową rosą...

Po wieczery, kiedy już służba odeszła, kiedy dzieci posnęły, odurzone choinką, podarkami, kołędami — zostali w salonie, przy kominku, sami państwo Złotorscy.

Zarzące się głównie gaśły jedna po drugiej, z cichym trzaskiem.

Zresztą było cicho.

Cisza panowała również za drzwiami, w sąsiednim pokoju, zajmowanym przez panią Sarbiewską. Chora była już od kilku dni bardzo słaba i uskarżała się na dziwne duszności. Przed Wigilją, kiedy zapaliła się pierwsza gwiazda, ucałowała Staszka i Zosienkę, którzy przyszli przełamać z nią opłatek... A potem zaczęła drzemać i drzemała dotychczas, choć przez kilka godzin w salonie, w pokojach i w czeladnej rozlegały się ściszone śpiewy i gwar wesołych głosów.

— Adasiu...

— Co?

— Zdawało mi się, że usłyszałam dzwonek...

— Dzwonek?

— Z pokoju cioci...

Pan Adam ocknął się z zadumy i zaczął bacznie nasłuchiwać.

— Przywidzenie...

Jakoż, panowała cisza.

Pani Marja odezwała się po chwili:

— Jestem o nią bardzo niespokojna...

Jej mąż westchnął.

— Tak. Ja też... List od Janka przeczytała?

— Tak.

Oboje rozmawiali szeptem.

— Zajrzę?

— Dobrze...

Pani Marja wstała i podeszła na palcach do zamkniętych drzwi sypialni.

...Kiedy ucichły wreszcie pierwsze płacze, kiedy, po gorączkowej, beznadziejnej i niepotrzebnej bieganinie, rozlegającej się echemi po wszystkich pokojach dworu, zapanowała zwykła, martwa pauza, zwiastująca najdobitniej, że w pobliżu przebywa Śmierć — zamilkła Złotorja.

Usnęli państwo, wyczerpani żalem. Usnęły głębokim snem splakane dzieci. I służba, która biegła do czworaków i do cugowej stajni, roznosząc najpierw żalobną wieść o zgonie starszej pani; potem rozkazy i odwołania, i nowe rozkazy, i nowe odwołania — aż się wszystko uspokoiło, bo wszystko było niepotrzebne.

I foryś zasnął, nieboszczki ulubieniec, zbeczany, że już nie żyje zacności pani, która mu dała kiedyś ciepłe, futrzane rękawiczki...

I surowy przełożony forysia, Wawrzyniec, który jeździł w przeszły piątek po księdza proboszcza...

Na łóżku zasię, pośpiesznie przystrojonem kwiatami, nawprost szeroko otwartych drzwi, do których zaglądała choinka, w świetle trzech świec — leżała zmarła.

Leżała pogodna i spokojna, trzymając w splecionych dłoniach obrazek i opłatek — opłatek z ostatniego listu, który nadszedł z dalekiego Biarritz...

JAPOŃCZYK.

Widывał ją codziennie w hallu hotelowym.

Zjawiała się punktualnie o 3-ej po południu. Punktualnie co do minuty.

Niejako: podług raz na zawsze ustalonego ceremonjału.

Najprzód zwiastowało jej ukazanie się — szczekanie japończyka. Piskliwy psi dyszkant. Daleko. Na piętrze. Potem bliżej. Na schodach, zasłanych miękkim dywanem. Wreszcie, z uderzeniem godziny 3-ej, zjawiała się na zakręcie monumentalnej klatki schodowej księżna, prowadząc na misternej smyczy — psa.

Japończyk nie posiadał się z radości. Szalał z uciechy, że idzie na spacer. Szczekał przenikliwie i prowokująco. Szarpał cieniutki, kolorowy rzemyk. Tańczył na dwóch łapkach. Przewracał się, zrywał, znów się przewracał — i sunął obok swej pięknej pani, jak kłębek jedwabistej peli, toczący się zgóry.

Psia ekstaza udzielała się większości mężczyzn. Księżna była wyjątkowo piękna.

Przechodziła spokojnie przez całą szerokość hallu, nie zwracając najmniejszej uwagi na gapiących się na nią gentlemanów. Pozdrowiała uprzejmem, wielkopańskim skinieniem sędziwego portjera-poliglotę, wartującego obok kołowrotu lustrzanego w dostojnem odosobnieniu. A potem zniknęła za turnikiem.

Powtarzało się to codzień, punktualnie o 3-ej, z taką niezwykłą precyzją, że dwaj Amerykanie, przedstawiciele nafcianego trustu, odsiadujący w klubowych fotelach obfity lunch (mniej więcej tak samo, jak inni odsiadują karę w więzieniu!) — wymyślili nawet pewien sport, zakładając się o to, czy księżna zużyje w danym dniu na przejście hallu parzystą, czy nieparzystą liczbę sekund?...

Start zaczynał się na ostatnim stopniu schodów, a finish wypadał mniej więcej na szerokości maty kokosowej, leżącej przy wejściu, tuż obok wspomnianego kołowrotu.

Raz na zawsze ułożyli się pomiędzy sobą, że za cyfry parzyste odpowiada starszy, za nieparzyste zaś — młodszy.

Księżna zauważyła tę grę i zainteresowała się nią nie na żarty: Któregoś dnia, przechodząc obok

stolika Amerykanów, zapytała starszego gentlemana z prostotą:

— Któż zwycięża?

Zagabnięci przez księżną Amerykanie odpowiedzieli po chwili namysłu, że „przeciętnej“ z ostatniego tygodnia jeszcze niema. Zapewne waha się w granicach między 20-ma a 24-ma sekundami. Obiecali jednak podsumować tę przeciętną z całą sumiennością.

Oznajmili księżnej, że, jeżeli chodzi o wygrane, wygrywa zawsze Mr. Brown, starszy gentleman, stawiający na cyfry parzyste; Mr. Fairbanks przegrywa. (Księżna zrobiła lekki ruch potakujący.)

Amerykanie dodali jeszcze, że są zachwyceni niezwykłą punktualnością księżnej. Pierwszy raz spotykają taką kobietę. Są zachwyceni. Zachwyceni! Księżna uśmiechnęła się lekko i pożegnała obu panów.

Odeszła potem od nich z cichym szelestem jedwabów, ciągnąc za sobą opierające się, hałaśliwe, kosmate czupiradełko.

Zostawiła nieopisaną smugę woni. Coś, jakby prąd uperfumowany. Osobliwy golfstroem kobiecości. Ciągący się właśnie od klatki schodowej do łoży portjera, umiającego rozmawiać po angielsku.

sku, po francusku, po niemiecku, po włosku, po hiszpańsku — i po rosyjsku...

Docent i uczony niemiecki, dr. Knabe, bawiący w tym dziwnym Petersburgu (jak sam twierdził) dla celów naukowych, mrużył częstotliwie swe stalowobłękitne oczy, spostrzegając księżną. Z fotelu, stojącego w zacisznym kącie hallu, obserwował ją uważnie. Młody niemiecki filolog nie umiał sobie zdać sprawy z rodzaju uroku, jaki wywierała ta piękna osoba. Nie umiałby też powiedzieć, w czym leżała niezwykłość jej aparycji.

— Głowa?

No, tak. Śliczna. Ale jest przecież tyle pięknych głów...

— Postawa?

Rasowa. I cóż z tego?

— Ręce?

Nie przyjrzał im się dotychczas uważnie.

— Nóżki?

Urocze. Więc co?

— Głos?

Słyszał go zaledwie kilka razy, zdaleka.

— Perfumy?

Denerwujące, jak wszystkie prawie perfumy elegantek...

Dr. Knabe przyśpieszał umyślnie śniadanie, a nawet je skracał. Zjawiał się w przedsionku hotelowym codzień przed trzecią, tylko poto, żeby móc przez chwilkę patrzeć na księżnę.

Amerykanie irytowali go bardzo. Mieszał prędko kawę w filiżance — i zasłaniał się płachtą dziennika. A potem, po wyjściu pięknej damy, kładł czem prędzej palto i kapelusz i wychodził na ulicę, na Newski. Do zmroku pozostawało o tej porze mniej więcej pół godziny: wałęsał się wpobliżu hotelu, przystając przed wystawami sklepowymi. Potem skręcał w jedną z bocznych ulic...

Pogoda zmieniła się była w tym czasie niedopoznania. Jakieś tajemnicze siły odprawiły nad zgniłym olbrzymem czary i gusła. Petersburg wypiękniał w oczach. Z dnia na dzień. W sposób wręcz niepojęty. Spłynęły którejs nocy ostatnie lody z Ładogi. Z wyciem i gwizdem szalały piekielne furje nad Newą. Aż się nagle uczyniła — wiosna! Niebo było teraz blado-błękitne, czyste, jak łza dziecka. Wietrzyk nabrał słodczy. Kędzierzawa, młodziutka zieleń osnuła czarne kikuty drzew. W Letnim Ogrodzie, na Kamiennostrowskim, na wyspach — rozpuściły się pąki.

Cierpkawy aromat brzóz załechtał nozdrza ludzkie.

Zaczem, podstępnie a uroczo, obwieściły swe panowanie Białe Noce...

Poznano je po pierwszym niepokoju serca, po pierwszej dojmującej tęsknocie...

Porą, kiedy się zmierzch zniżał — aż do świtania, dygotało coś w piersiach ludzkich: może właśnie ta niesamowita, elektryczna poświata, stojąca nad miastem-ogromem, nad zalewiskiem zgniłych delt, nad zatoką błotnistą, nawskroś leniwą...

Docent niemiecki, dr. Knabe, zaczął teraz na noc zażywać weronału.

Któregoś dnia miał dr. Knabe niezwykłą przygodę. Kiedy wyszedł na Newski, kilka minut po trzeciej, spotkał niespodzianie o trzy kroki od hotelu księżnę.

Pani miała zaczerwienione oczy i rozglądała się naokoło bezradnie z wyrazem takiej rozpacz, że chłodne serce dr. Knabego — drgnęło.

— Koennte ich irgendwie behilflig sein, Gnädige Frau?

Księżna drgnęła. Podniosła na pytającego zapłakane źrenice. Szepnęła:

— Zginał mi... — i zalała się fontanną łez.

Doktór Knabe zdziwił się jeszcze bardziej. Uchylił ponownie kapelusza. Zapytał bardzo troskliwie:

— Kto księżnej zginał?

Teraz się dopiero wyjaśniło, o co chodzi. Księżnej zginał japończyk! No, tak, jej ukochany piesek. Niewiadomo, jak to się stało. Weszła w ulicę Morską. Przystanąła na sekundę wpobliżu sklepu jubilera Fabergé. Chciała oddać pierścionek do naprawy. Aż tu nagle...

— Rozumie pan, jakie to straszne? Straszne i niezrozumiałe! Przecież Czing był na uwiezi! Sama nie wiem, jak się to mogło stać? Może jakiś urwis niegodziwy?... Może złodziej, znający się na psach?... Może sam się spuścił ze smyczy?

Doktór Knabe zastanowił się przez sekundę.

— Co robią w Petersburgu ze znalezionemi psami?

— Czy ja wiem, panie?...

Z pięknych rzes księżnej zaczęły znowu kapać ciężkie łzy...

Ostatecznie, dr. Knabe psa znalazł.

Jeździł samochodem po Petersburgu, wypatrując Czinka: procedura zupełnie beznadziejna, bo skądże w takim olbrzymim mieście?... Nale-

żało raczej zwrócić się do policji, albo ogłosić rzecz w pismach... Ale doktor Knabe nie chciał zwracać się do policji i czuł awersję do prasy... Nie miał też wielkiej ochoty jechać na krańce miasta i re-kognoskować sprawy w jakichś okropnych zakładach utylizacyjnych... (Wogóle, jak najdalej od władz!)

Znalazł, bo chciał znaleźć. W dosyć obskurnym zaułku, gdzie, jak go objaśnił szofer, czasami można kupić tanio cudzą własność.

Dostał Czinga za 3 ruble.

Kiedy wrócił z nim do hotelu i zastukał do drzwi apartamentu na 2-em piętrze — kiedy mu otworzyła księżna — kiedy zobaczyła swojego japończyka... zagrały, zda się, wszystkie harfy anielskie!

— Czing!!!

Księżna rzuciła się na pana docenta, wyrwała z jego objąć japończyka, zaczęła okrywać psa pocałunkami, śmiejąc się i płacząc naprzemian. Potem, cała drżąca, z oczyma jeszcze wilgotnemi od łez, zapytała księżna Knabego:

— Jak ja się panu wywdzięczę?

Doktor Knabe skłonił się rycersko:

— O, niema o czem mówić...

— Ten pies... wie pan? — ten pies jest dla

mnie najdroższą istotą na świecie! Ja tego nie zapomnę panu do końca życia!

Doktór Knabe ucałował dwa razy podaną sobie dłoń. Księżna prosiła go serdecznie na herbatę. Odmówił grzecznie, ale stanowczo. Późem, usłyszawszy raz jeszcze o „wdzięczności dozgonnej”— odszedł na swoje piętro, do swojego numeru.

Wieczora tego dr. Knabe siedział długo zamyślony przy oknie, wpatrując się w szary, szary zmierzch.

Przed pójściem na spoczynek zanotował jeszcze w małym notesie, zapisanym drobnymi literkami hieroglifami:

„— Extra. Privat. 10 Rubel, Autodroschke, 3 Rubel, Hund“.

Pan dr. Knabe, docent, bawiący w Petersburgu na studiach filologicznych, przekonał się któregoś dnia, w końcu lipca (wyjątkowo roku tego skwar nego), że czasem drobna przysługa opłaca się bardzo poważnie.

Do numeru jego zastukano.

— Entrez!

Na progu stanęła księżna.

Zerwał się na równe nogi, zdumiony. Machinal-

nie zapiał kołnierz kurtki domowej, machinalnie wskazał księżnej fotel, przepraszając ją za nieporządek... za...

Ale księżna nie usiadła. Zamknęła za sobą drzwi... (drzwi były podwójne, więc zamknęła pierwsze i drugie, wyrzawszy przedtem na kurytarz) — poczem powiedziała trochę zdyszana:

— Jechałam z Giecziny, bardzo się śpieszyłam...

Sięgnęła za stanik, wyjęła stamtąd nieduży pakiet i położyła go na stole przed Knabem.

— Paszport zagraniczny na nazwisko Aleksandra Lipowienko; 100 biletów wizytowych; bilet kolejowy.

Uzupełniła:

— Proszę nie palić papierosów, o ile je pan ma, niema już czasu. Najdalej za pół godziny przyjadą po pana. Żegnam!

Knabe znalazł się przy niej jednym susem. Był blady, ale zupełnie spokojny. Spytał, zatrzymując księżnę wzrokiem (ręką nie śmiał):

— Kiedy się dowiedzieli?

W pięknych oczach kobiety zamigotało coś, jakby wzgarda. Spojrzała Knabemu głęboko — nie w źrenice — ale gdzieś dalej, poza źrenice, na dno jego mądrego mózgu.

— Ja wiedziałam o tem od samego początku. Doktor Knabe nic nie odpowiedział...

Księżna uśmiechnęła się blado. Powiedziała jeszcze, wychodząc:

— Jesteśmy kwit.

Hauptmann Knabe dowiedział się dopiero w drugim roku wojny o rozstrzelaniu rosyjskiego szpiega, księżnej X., jednej z najwybitniejszych konfidentek carskiego sztabu jeneralnego. Rozstrzelano ją pod innem zupełnie nazwiskiem w małej, pruskiej mieścinie, położonej zdala od frontu...

Hauptmann Knabe leżał na łóżku szpitalnem, kiedy mu zakomunikowano tę wiadomość.

Nie powiedział nic.

Zamknął tylko oczy. Wydało mu się, że słyszy szczekanie małego, brązowego japończyka...

CHIANTI.

Trzeba przyznać, że pasażerowie pociągu pośpiesznego Nr. 146 mieli wyjątkowe, niesłychane szczęście!

Lokomotywa wykoleiła się akurat u wylotu mostu.

Gdyby ta głupia oś była pękła o minutę później, zwałiby się cały pociąg do rzeki, z wysokości 20-tu metrów, prosto na skały, sterczące tu i tam — w kipiącym łuku wodnym...

A tak, obeszło się szczęśliwie.

Tylko jedna pani ze sleepingu, która się właśnie windowała na górne łóżko, upadła, wskutek gwałtownego wstrząśnienia i dostała ze strachu ataku serdecznego śmiechu.

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha...

Piała tak dobry kwadrans, póki się panika nie uspokoiła; potem jej dali walerjany (w pociągu jechał na szczęście lekarz z Rzymu), i przestała.

A później, czekając na kurjer, idący z Medjolanu, do którego się mieli przesiąść, posnęli.

Nie wszyscy, zresztą.

W jednym z przedziałów II-ej klasy grano w bridge'a; na schodkach maszyny siedzieli, gwarząc cicho, palacz i pomocnik maszynisty ze zwiniętym palcem; w ostatnim wagonie rozmawiali, gestykulując nader żywo, konduktorzy.

Nieco dalej zaś, w zapadającym mroku nocy, mętnej i bezgwiezdnej, gotowała się w dole rzeka, pędząca na złamanie karku, jak żółta kaskada z Tivoli, zasycona deszczami...

Grzmiało tam i syczało, huczało i parskało pod mostem, jakgdyby stu djabłów tańczyło razem, ująwszy się za ręce; chwilami szum się wzmaczał, natężał, nabierał tchu — wtedy, zda się, hulały pod łukami złe siły, pomstujące wściekle:

— Zabrano nam łup! Zabrano nam łup!

Ludzie, drzemający w wagonach, pełni byli jeszcze niewypowiedzianej błogości i uciechy z tego, że ocaleli. Cienka, wysoka Angielka ze sleepingu opowiadała nawpół przez sen, że pierwszą jej myślą była myśl o flakonie z wodą kolońską, z oryginalną wodą kolońską: czy się czasem nie wylała? Kupiła tę wodę w Kolonji przed tygodniem. Naprzeciwno tumu, trochę na lewo, jest taki sklep. Inne, to falsyfikaty... Trzeba koniecznie zwracać uwagę na opakowanie i etykietę...

Nikt jej nie słuchał.

Dama o nieco zniszczonej twarzy i przecudownych rękach, jadąca w 8-ym przedziale i zajmująca łóżko Nr. 16, dzwoniła dosyć długo na przewodnika; nie mogąc się go doczekać (rozmawiał w tej chwili w ostatnim wagonie z konduktorami), strzepnęła niecierpliwie białemi, długimi palcami, sięgnęła po podręczną walizkę, wyjęła z niej miękki szal z długą frendzlą — i wyszła z przedziału na kurytarz, dziwnie martwy w jasnem oświetleniu elektrycznem.

Sleeping był cichy i głuchy.

Przez uchylone drzwi wagonu zawiewał chłód nocy.

Piękna dama wychyliła się nazewnątrz i wciągnęła w delikatne, nerwowe nozdrza zapach węgla, kurzu — i zapach rzeki.

Wzdrygnęła się długim dreszczem, zawahała, poczem, czując się jakoś nieswojo w tym milczącym przedziale milczącego wozu, ujęła ruchem energicznym mosiężne uchwyty, trochę wilgotne — i zeskoczyła na plant.

Rozejrzała się naokoło, niezdecydowana.

Wdali, za ostatnim wagonem, w stronie, skąd miał nadejść kurjer, majaczyły czerwone sygnały.

Przed nieruchomą, przechyloną lokomotywą, wrytą w nasyp kolejowy, skośnie do linii szyn — rysowała się poręcz mostu.

Zrobiła, niezdecydowana, kilka kroków w stronę tego mostu, obeszła obezwładnionego smoka parowego, poczem, owijając się szczelnie szalem, weszła na drewniany chodnik.

Mimo lekkości jej kroków, odezwały się pusto deski. W szparach między niemi — zamajaczyła biel pian...

Poczęła iść prędzej, coraz prędzej, niedowierzając tej kładce, rzuconej nad przepaścią... Chciała czem prędzej przejść na drugą stronę... W pewnym momencie zrobiła nieostrożny krok i dotknęła się, dla odzyskania równowagi, żelaznej barjery... Zdało się jej, że barjera jest elastyczna i usuwa się pod naciskiem ręki...

Cała w zimnych potach strachu, stanęła po drugiej stronie.

— Co to? Kto tu? — — —

Cień, który się był podniósł ze szkarpy kolejowej, podobny do czarnego demona, zrobił krok naprzód i zaświecił nagle latarkę.

— Chwała Bogu! Człowiek, nie djabeł.

Wstyd jej się zrobiło dziecinnego strachu. Wszystko nerwy... Przyjrzała mu się z odległości kilku metrów, o ile nato pozwalało światło latarni, zawieszanej na pasku i oświetlającej jego szeroką pierś. Kolarz, najwidoczniej? Uświadomiła sobie, że ten człowiek w czarnej, skórzanej kurtce jest tu zapewne na posterunku. Odetchnęła.

— Przepraszam... Pan tu... na służbie?

— Na służbie, signora.

— A! Przy moście?

— Tak jest.

Brzmienie głosu nieznajomego wydało się jej dziwnie bliskie. Gdzieś, kiedyś, dawno zasłyszane i zapamiętane... Ale gdzie?

Zagadnęła, tym razem zupełnie swobodnie:

— Czy nie wie pan, kiedy nadejdzie pociąg z Medjolanu?

— Najdalej za kwadrans, proszę pani.

Nieinaczej. Głos ten już kiedyś słyszała...

— Jak pan myśli? Czy bylibyśmy runęli do rzeki, gdyby ta nieszczęsna oś była wpadła na koncept pęknięcia — ha, ha! — na samym moście?

— Prawdopodobnie, tak.

— Brrr...

Nieznajomy mężczyzna powiedział „tak“ tonem dosyć obojętnym. Ale ona poczuła ciarki w krzyżu.

Pomyślała: Za żadne skarby świata nie wróci sama przez ten przekłety most! Poprosi, żeby ją odprowadził do wagonu!

Tymczasem mężczyzna trwał w zupełnem milczeniu.

Stał przed nią, zasłaniając sobą przejście.

— A gdzie pan mieszka?

Sama nie wiedziała, poco go o to zapytała. Ot, zapewne poto, żeby jakoś podtrzymać rwący się wątek rozmowy... To też zlodowaciała, gdy światło latarki, oświetlającej dotychczas tylko piersi i brodę tego człowieka, nagle pobiegło w górę, wydając zarys twardych, zaciśniętych ust i kształt głowy, niespodzianie siwej.

— Ty???

— Ja.

— Henryku... Ty? Ty? Wielki Boże!

Więcej nie mogła, nie umiała wydobyć ze ściśniętego gardła. Ugięły się pod nią nogi...

— Proszę, nie denerwuj się. Spotkanie, jak sto innych.

Głos jego zabrzmiał surowo.

Przycisnęła oburącz rozpaczliwie kołające w piersi serce...

— Jej mąż!!!

Kiedy nieco później znalazła się w małej, ciasnej izbie zwrotniczego, cała rozdygotana, trzęsąca się i bezmiernie słaba, zwróciła uwagę na pewien szczegół: czarne oczy jej męża — jej byłego męża — patrzyły podczas rozmowy w jeden punkt zupełnie nieruchomo.

— Henryku...

— Co?

— Skąd się tu wzięłeś?

— Służę.

— Jako?

— Zwrotniczy.

— Ty... Zwrotniczy?...

— No, tak... Cóż w tem dziwnego?

— Jakto... Inżynier?

— I kryminalista...

Fala krwi uderzyła jej do głowy. Przymknęła oczy. Zdało się jej, że widzi raptem dużą, różową sypialnię na Corso Umberto, całą w adamaszkach... Wielkie, niskie łóżce... Ten przewrócony, wielki wazon, padający na dywan z głuchym, przejmującym brzękiem... Wściekle spięte łuki brwi nad nieprzytomnymi oczami... I głowę tamtego, zlekka przechyloną nabok, z wążiuchną strugą krwi, są-

czącą się z przestrzelonej skroni na poduszkę, białą jak śnieg...

Kiedy podniosła nań po chwili oczy struchlałe, z pod powiek nagle ciężkich, jak wieko trumny — zobaczyła znowu nieruchome białka i nieruchome źrenice męża.

Stał, oparty o futrynę drzwi, jakgdyby podpierał tę wątłą chatkę i ściany, związane niedbałe. Latarnia była obok, na drewnianym zydłu. A na ścianie tuż obok drzwi — wisiała zwyczajna, opłataną, butelka Chianti.

Zadygotała...

Butelka miała charakterystyczną szczerbę: wysmukłą szyjkę szklaną coś ucięło, jakby nożem. O, знаła dobrze tę butelkę. Figurowała w procesie, jako dowód rzeczowy... Mądrze ją adwokat wówczas wyzyskał, udowadniając sędziom, iż człowiek, strzelający p r z e z b u t e l k ę, nie strzela z premedytacją...

To ta sama butelka...

Czuła, że musi jeszcze raz spojrzeć na twarz męża.

Spojrzała.

I zrozumiała tajemnicę tych nieruchomych oczu.

Nie widziały.

...W trzy tygodnie potem wybuchnęła wojna. Nie miałem powodu zbyt cenić życia. Zgłosiłem się na ochotnika. W kilka miesięcy później granat eksplodował kilka kroków ode mnie. Oślepiłem. Nie miałem z czego żyć. Zamieszkałem tutaj z moim kolegą wojennym, inwalidą, który stracił nogę. Umarł dwa lata temu. A że znam tutaj każdy kamień i mam do pilnowania tylko zwrotnice, mieszczące się o — tu! — zostawiono mnie. To wszystko. Oczywiście zrobiono dla mnie wyjątek... Brak oczu wynagradza podobno mój dyplom inżyniera.

Mówił zupełnie spokojnie. Zapytała go:

— Jak mnie poznałeś?...

Odparł po dłuższej chwili milczenia:

— Po głosie. Poznałbym twój głos wśród głosów tysięcy kobiet.

Załkała:

— A ja myślałam... że ty nie żyjesz...

Uśmiechnął się po raz pierwszy.

— Niestety. Żyje.

Wstała.

Zatrzymał ją lekkim ruchem ręki.

— Poczekaj.

Zdjął ze ściany butelkę o przestrzelonem gar-

dle, z napisem „Chianti“: sięgnął bez wahania po szklanke, nalał po brzegi czerwonego, jak krew płynu.

Powiedział:

— Nie mam nic, czembym mógł cię poczęstować... Wypij!

A gdy zadrżała:

— O, to nie dlatego, żeby ci sprawić przykrość... Innej nie mam. Zachowałem ją na pamiątkę. Martwy przedmiot, nie lękaj się.

Zęby jej zadzwoniły o szkło...

Wziął szklanke z jej rąk, postawił na stole, poczem uprzejmie, ale stanowczo, przypomniał:

— A teraz czas... Bo nie zdążysz.

Wyszli razem. On przodem, świecąc latarnią (innym!), pewnym krokiem — ona za nim, jak we śnie...

Noc się zrobiła tymczasem ciemna zupełnie. Huczała dołem zła woda, a dalej, w odległości pół kilometra, słychać było zdyszany oddech nadjeżdżającego pociągu kurjerskiego.

Weszli na most.

Przystanął raptownie, odwrócił się do niej twarzą. Szepnął miękko:

— Nie bój się... Nie chcę ci zrobić nic złego.

W tej samej chwili poczuła rękę ślepcy na swo-

jej twarzy. Dotknął delikatnie jej czoła, jej źrenic, policzków, ust, szyi...

— Zdaje się, że jesteś jeszcze bardzo ładna...

Musnął jej ręce...

— I ręce masz dawne...

Gdy w kwadrans później odjeżdżała, usłyszała zdołu, z głębokich mroków, zalegających tor, głos:

— Nie wracaj!... Pamiętaj! Nigdy!

B A R.

(*Historja paryska.*)

- Więc jutro o 10-ej?
- Jutro o 10 -ej.
- Strój?
- Zwykły.
- Bo jabym, ewentualnie, mógł surdut...
- Jesteś zielona małpa!
- Sam taki.
- Słowo daję, zwarzjował.
- Monsieur...
- Monsieur...

Zawisza posłał roześmiane spojrzenie wślad za odchodzącym przyjacielem i zasłonił się płachtą *Matin'a*. Był pewny, że Koper wynosi się tym razem nadobre, dostatecznie poinformowany o wszystkim, co go jutro czeka.

Ale Koper dał właśnie kontrparę: przy samych drzwiach kawiarni zawahał się — zatrzymał — i zawrócił.

Staął nad Zawiszą, naprawdę zalterowany. Nawet kapelusz, zwykle noszony poprawnie, tym razem zjechał mu na tył głowy.

— Heniek?

— Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

— Więc to na serjo?

— Już ci powiedziałem, idjoto. Na serjo!

— Z Francuzką?

— Z Francuzką.

— Zastanów się...

— Zastanowiłem się.

— Żenisz się z mademoiselle Daisy?

— Żenię się, do stu djabłów! Ile jeszcze razy mam ci to powtórzyć? No, żenię się! Żenię się! I zapamiętaj sobie raz na zawsze, że jej jest na imię nie Daisy, tylko całkiem zwyczajnie, Désirée! Rozumiesz? Désirée! Ani kropli krwi angielskiej nie ma w żyłach! Ani uncji limfy! Żebyś mi jej nie nazywał Daisy, bo mnie szlag trafi!

Koper jeszcze się wahał.

Zawiszę aż poderwało.

— Czego się na mnie gapisz? Może nieładna?

— O!

— Może niesympatyczna?

— Co znowu!

— Głupia?

— Wprost przeciwnie!

— Może źle zbudowana, albo cherława, albo zezowata, albo jąkała, albo kulawa, albo...

— Nie o to chodzi.

— Tylko o co?

— Że...

— Że co?

— Że się wynarodowisz!

Pocziwy Koprowski wystrzelił ten ostatni nabój z widocznym wysiłkiem i tak się tem przejął, że aż usiadł.

Usiadł — i zaczerwienił się.

Poczuł, że dotknął tym razem bardzo niebezpiecznej i drażliwej struny...

Wszelako Zawisza, jak zawsze wspaniałomyślny, nie rozniewał się na przyjaciela za ten nieoczekiwany sztych. Prawda, że mu trochę nabrzmiała popędliwa żyłka na czole... Prawda, że mu oczy błysnęły trochę żywiej... (koledzy znali ten błysk!). Ale podjął rękawicę spokojnie. Odstawił pusty b o c k i powiedział:

— Ty się o mnie, kochanie, nie bój. Nie wynarodowiłem się w Petersburgu, ani później, na Kaukazie, ani jeszcze później, w tej zapowietrzonej Odesie — to i teraz się nie wynarodowię! A co do Désirée — zanotuj sobie, że to jest najmądrzejsza

i najmilsza dziewczyna, jaką w życiu spotkałem. Doskonale wie, że będzie musiała nauczyć się po polsku i zamieszkać kiedyś w Warszawie. Wie, że, jeżeli będziemy mieli dzieci, to ich nie pozwolę trzymać do chrztu żadnemu tutejszemu m i g l a n c o w i, tylko jakiejś ciotce Karoli, albo kuzynce Zosi, do spółki z jakimś Stanisławem, czy Władysławem — albo, ot, chociażby z takim kretynem, jak ty!

— Dziękuję.

— Proszę.

— Więc jutro o 10-ej, w marynarce. Krawat mam włożyć jasny, czy ciemny? Bo faktycznie nie wiem, jak w takich okolicznościach...

— Krawat włóż pomarańczowy, słoni!

— No, ale żeś się zdecydował na małżeństwo w Paryżu?

— Ba, pewnie, i jabym wolał, aby mi ktoś w kraju ryknął na chórze polskim basem „Veni Creator“...

Koprowski podniósł się jeszcze raz, tym razem nadobre. Uścisnął mocno dłoń Zawiszy i wyszedł z kawiarni, stąpając wedle swego zwyczaju wielkimi, siedmiomilowymi krokami.

Zawisza żenił się naprawdę.

Tak to jakoś na niego przyszło...

Zdawałoby się, że ten uniwersytecki obieźysa, niedopieczony inżynier, potem żołnierz, na końcu literat — szczepiony na cholere w Petersburgu, na dżumę w Odesie, na jeszcze — tam — coś w Tullonie — pomyślnie uratowany z obieży „idiejnych“ Moskiewek i niekoniecznie idiejnych, zato nierównie lepiej utrzymanych Amerykanek i Francuzek, poznawanych najpierw w lazaretach wojennych, później w Jockey'ach — nie wpadnie nigdy...

Otóż wpadł!

Ale nie mogło być mowy o głupstwie. Kto tak, jak on, bywał sto razy w życiu na wozie i pod wozem; kto tak, jak on, poznawał mniej lub więcej absorbujące „bonne-fortune'y“ — nie mógł popełnić szaleństwa.

Owszem, zdawał sobie sprawę z tego, że popełnia tak zwany mezaljans. Wiedział, że jego wybrana pochodzi z niezamożnej rodziny. Nigdy jej o tę sprawę nie pytał (bo i poco?), ale domyślał się, że Désirée znała życie nawylot. I to z nienajciekawszej strony. Że — zupełna sierota — była w dużym Paryżu sama! W dodatku — w jakich warunkach!

— Bagatela: b a r!

W barze Désirée mieszła za wysoką ladą flipsy

i cocktail'e. W barze — nazywała się Daisy. Ha-ha! Daisy! Dla podtrzymania prestiżu lokalu.

Dla umocnienia możnych etranżerów w przekonaniu, że przedsiębiorstwo, mające wypisane na szybie złotymi literami: „english spoken“, fabrykuje niebiańskie nektary i ambrozje — i niedość, że je fabrykuje, mrozi, miesza et caetera — ale, że mikserką, uroczą alchemiczką, o jasnej czuprynie i niezwykłych oczach — jest Angielka!

Mimo sporej dozy liberalizmu, a nawet cynizmu, nie należał Zawisza do typów, wzruszających ramionami w chwili, gdy się mówi o cnocie niewiast. Zwiedził różne kraje, poznał różne obyczaje, ale nie bagatelizował delikatnej materji... dziewictwa.

To też bardzo długo się zastanawiał, zanim powziął któregoś dnia heroiczny projekt małżeństwa.

Ale im dłużej się zastanawiał, tem mocniej biło mu serce!

— Tak! Ta śliczna dziewczyna jest stworzona na żonę! Nietylko na żonę, ale i na matkę! Ba! Uchować się zdrowo w takich waruneczkach? Być czystą jak łąza, gdy wszystko wkoło aż się lepi? Nie zepsuć się do gruntu, przestając z mieszaną klientelą baru? Nie zgłupieć podczas kilkoletniego preparowania cocktail'ów? Mieć tyle ładnej wrażliwości i tyle dobrego smaku — obcując godzina-

mi całemi z clerc'ami, niebieskimi ptakami, turystami, włóczącymi się po mieście jak po wielkim zamtuzie, i temu podobną hołotę? — Ależ na to trzeba być diamentem najczystszej wody! Perłą najrzadszą! Fenomenem!

Owego pamiętnego, deszczowego wieczoru, gdy, zasiedziawszy się w barze do późnej godziny, zawarł bliższą znajomość z intrygującą mademoiselle Daisy — popadał Zawisza z jednego zdumienia w drugie.

Daisy urzędowała z nieopisaną wprawą, zachowując przytem zimną krew, godną podziwu. Jakiemuś gogusiowi, zachowującemu się zbyt zuchwale (Zawisza obserwował to wszystko z kąta, kilka razy sprężony do skoku...), poprostu kazała wyjść za drzwi. Wyszedł! Innemu gościowi, który póty pił, aż się zaczął chwiać na wysokim zydlu — włożyła bez ceremonji kapelusz na głowę, podała laskę — i poleciła garsonowi zapakować pasażera do taxi. Zapakowano! Z kimś innym jeszcze poradziła sobie w inny sposób: nalała mu szklanek zimnej wody — i kazała wypić duszkiem. Wypił!

Nie można jej było nic zarzucić....

Zaproszona przez naszego bohatera, podeszła mademoiselle Daisy do jego stolika. upewniwszy

się wprzód, że zapraszający ją młody pan jest trzeźwy, a wszyscy obecni goście są obsłużeni. Poprosiła młodego człowieka w białym kitlu, pomagającego jej za ladą, żeby przez moment uważał na kasę baru.

— Charles, faites attention...

Usiadłszy przy stole Zawiszy, Désirée umaczała świeże (nieuszminkowane!) wargi w kieliszku, który jej nalał. Nie dała się jednak wciągnąć w dłuższą gawędę: po kilku minutach stała znów na podwyższeniu, za barykadą z marmuru, szkła, słomek — i czystego lodu.

Dopiero około północy, kiedy fala klienteli teatralnej wsiąkła w rozdeszczoną, mżącą, paryską noc — zgodziła się Mademoiselle Daisy na dłuższą i trochę intymniejszą rozmowę z Polakiem. (Przedstawił się jej na samym początku.)

Zawisza był tego wieczoru, wyjątkowo, przy grubszej gotówce. No, i mocno wzięty...

Tak mu ta młodość, te usta, te olśniewające zęby, ten melodyjny głos, te piękne oczy uderzyły do głowy, że — bezceremonjalnie, ale (uwzględnwszy miejsce i porę) naturalnie — zaproponował mademoiselle Daisy zupełnie godziwą i zupełnie logiczną kombinację. Powiedział mianowicie, że on, Zawisza, byłby najszcześliwszym z ludzi, gdy-

ty mu uroczą panna Daisy pozwoliła ewentualnie zaopiekować się sobą na stałe — wzamian za co wystarczyłoby, gdyby panna Daisy obiecała kiedyś... w przyszłości... być dla niego... Zawiszy... „gentille“...

Na co otrzymał zupełnie nieoczekiwaną, chociaż miłą i spokojną odpowiedź, że tego się zrobić nie da, bo... nie!

Dociekania na temat „pourquoi - pas?“ trzeba było odłożyć do następnego dnia. Zamykano.

Jednak ani nazajutrz, ani później, nie raczyła panna Désirée sprecyzować bliżej powodów odmowy: Zawisza skłaniał się do przypuszczenia, że uroczą Francuzka ma gdzieś na boku dobrze sytuowanego przyjaciela, z którym się musi poważnie liczyć?...

Dopiero drobny przypadek wyprowadził go z błędu. Była doroczna, słynna „fuara“ w Neuilly. Désirée dała się namówić na wspólną eskapadę za rogatki. I tam, wśród zgiełku piekielnego, w ciasnej uliczce, między setkami teatrzyków, karuzeli, jarmarcznych bud i temu podobnych cudów — zorientował się Don Juan, że jego dama ubrana jest właściwie arcy-skromnie (żeby nie rzec: ubogo!), że cały szyk jej zawadjackiego kapelusika polega wyłącznie na sposobie noszenia

tego kapelusika. Że sukieneczyna, modna wprowadzie, ale najoczywiściej „na soldach“ kupiona, jest już zlekka draśnięta zębem czasu. Że trzewiczki jej nie wywodzą się z Rue de la Paix. Ani pończoszki, cieniutkie wprowadzie, ale też i lichutkie...

Jedynym luksusem był mały bukietik kwiatów, przypięty do klapy „Deux-pièces“...

— Ravissant!

A potem:

— Rigolo!

Potem jeszcze:

— Formidable!

Te kolejne, naiwne, rozkoszne zachwyty, wypowiedane niewinnie i rozbajająco — te usteczka roześmiane — i oczy, błyszczące z uciechy — upewniły doreszty Zawiszę, że nie ma do czynienia z osobą zepsutą.

Jakoż „osoba“ nie była wcale zepsuta!

Zajadając z apetytem jakiś kotlecik, sałatkę i serek — popijając tę ucztę 10 frankową cieniem winkiem — dała się wreszcie panna Désirée wciągnąć w konfidencje.

Nie. Żadnego kochanka dotychczas nie miała. Nikogo dotychczas na serjo nie kochała. Owszem, miała dwa flirty w życiu, przed kilkoma laty:

pierwszy raz, był to młody oficer, który bawił w Paryżu tydzień i który, niestety, na froncie zginął. Drugi raz, prokurent jakiegoś banku, Anglik, bardzo dobrze ułożony... Pocałował ją raz jeden tylko, na Gare du Nord (translokowano go do Szanghaju, żegnała go na odjezdnem...)

— Voilà tout.

Zawisza pomyślał sobie w tej chwili, że jednak nigdy nie należy generalizować. Pomyślał — i rozrzewnił się jak cielę.

Wracali potem do domu pieszo (nie chciała jechać autem) przez Lasek i Avenue des Champs Elisées, kawał drogi, bo panna Désirée mieszkała aż około ulicy St. Anne. Było niezwykle cicho, jak na Paryż, pogodnie i pięknie. W prześlicznej perspektywie opustoszałych Pól Elizejskich migotały niezliczone światła, pomnażane przez lustra asfaltów — a w górze migotały roje srebrnych, francuskich gwiazd — jednych z najpiękniejszych na świecie.

Nazajutrz wszystko odbyło się bardzo poprawnie, a nawet solennie. Koprowski, miły warjat, wyróżnił się wprawdzie w „redęgot“ nieopisanego kroju, niewątpliwie wypożyczony gdzieś na Żydach (myślicie, że w Paryżu niema takich Żydów

pocziwych? akurat!), i przyniósł, wbrew wyraźnym instrukcjom, duży bukiet — poza tem jednak zachowywał się przyzwoicie. Prócz Koprowskiego, zjawilo się jeszcze dwóch świadków: Blauman, student prawa, studjujący w Paryżu od czasów wojny krymskiej — i niejaki Skrzetuski (jak sam twierdził, w prostej linii potomek pana Jana!).

Tak się przedstawiała delegacja polska.

Delegacja francuska była niemniej okazała: monsieur et madame Michard, bardzo zacni kupcy z quartier, w którym mieszkała Désirée, do pewnego stopnia jej opiekunowie — monsieur et madame Schreiber, bardzo zacni Alzateczycy, do pewnego stopnia także jej opiekunowie — no i jeszcze jeden pan, o pocziwej, apoplektycznej fizjognomji i do tego stopnia pospolitem nazwisku, że żaden z Polaków tego nazwiska nie zapamiętał: komandytarjusz Baru!

Ostatni — z rozetą Legji Honorowej. (Tej niewinnej słabostki nie wziął Zawisza za złe swej ukochanej...)

Koprowski krakał wprawdzie, że w urzędzie stanu cywilnego francuskie czynownicy znajdują niezawodnie jakieś niedokładności w papierach, ale się obeszło.

Papiery Désirée były, oczywiście, w porządku —

a i pan młody, świadom praktyk aljanckich, też wszystko dobrze przygotował: nietylko metryki, pasporty i uwierzytelnione odpisy czegoś tam — ale nawet cenzury szkolne i świadectwa dojrzałości, podpisane przez kilkunastu Iwanów Filipowiczów i Mikołajów Aleksiejewiczów.

Choć to nie było nieodzowne, zamienili ob-rączki...

A potem trzema taksami pojechali do Prunier'a, bo Zawisza oświadczył, że będzie tego dnia s z a l e ć!

Niby nie była pora, ani sezon, ale trzeba powiedzieć, że spałaszowali sześć tuzinów ostryg...

Potem była, zdaje się, jakaś Bouillabaisse'a, potem pularda z truflami, sałata, ser, ciastka, kawa czarna, et caetera...

Skrzetuski postawił się, jak na szlachcica przystało wobec hasła: „Nie pijemy. w tej knajpie szampitra, bo zedrą!“ — zaprosił po śniadaniu nowożeńców i całą kompanję do Wersalu, gdzie miał znajomego winiarza, bardzo morowego faceta.

Pito w izdebce, pamiętającej jeszcze czasy Mirabeau. Po trzeciej rundzie pan z rozetą Legji za-intonował „Ça ira!“ — a Polacy „Pije Kuba do Jakóba!“

Na zakończenie nastąpiło bratanie się narodów i paraflowanie wzmocnionego traktatu przyjaźni.

Odechodziły hymny narodowe. Całowano się pojedynczo i z dubeltówki.

Désirée (uroczo blada i ładniejsza, niż kiedykolwiek) wodziła po obecnych zdziwionemi i zlekka rozszerzonymi oczami.

Nowożeniec ścisnął pod serwetą jej małą rączkę. Kurzyło mu się z czupryny, ale trzymał się ostro!

Koprowski tłumaczył pani Michard, że najstraszniejszą jazdą na świecie była polska husarja.

Pani Schreiber potakiwała, mało przytomna, trochę wystraszona.

Panowie: Michard i Schreiber śmiali się, jak opętani.

Blauman deklamował „Alpuhare“.

A potem — kiedy już noc zapadła — nastąpił odjazd.

Na wyraźne życzenie nowożeńców, wystartowali najpierw mili goście, a na samym końcu — oni. Zawiszowie.

Niewiadomo, czy to sprawił szampan, czy wyjątkowo upalna, letnia noc, czy co innego? — —

Młoda para drżała. Désirée miała oczy nie duże

już, ale wprost przepaściste i tuliła się, pałająca, do męża...

I wchłonał ich Paryż, wspaniałomyślny i ogromny przyjaciel kochanków, najdziwniejsze miasto na świecie, spoglądające z niezamąconą pogodą na dwuznaczne bary — marmurowe pomniki — zaczarowane wnętrza — płomienne alkowy — i na tysiące szaleństw, zapalających co dnia transparent ż y c i a...

Wchłonał ich — i ukrył.

Być może, że przyjadą któregoś dnia do Warszawy z dzieckiem, szczebiocącym przez pół po francusku, przez pół po polsku, o siwych oczach ojca — i uroczych usteczkach matki, wykrojonych w łuk Amora.

Być może, że nie przyjadą do nas nigdy?

GLUPIA MAGDA.

Stolik Załęskiego stał pod oknem tak, że siedzący w najbliższym sąsiedztwie goście restauracyjni p o z o w a l i niejako malarzowi, wyraźnie i ostro oświeceni.

Załęski wybrał był sobie to miejsce nieprzypadkowo. Nieprzypadkowo ulokował się też — raz na zawsze — plecami do okna, za którem stacjonował ten sam od niepamiętnych czasów, pamiętający jeszcze legendarnego „hrabiego Gucia“, sznur warszawskich drynd (brud rozklekotanych wehikułów, nadrabiany wesołą arogancją dorożkarzy — i nędza końskich ochwatów i pipaków, maskowana białymi bandażami...).

Załęski odwracał się w ten sposób tyłem do ulicy, której nienawidził z pasją arystokraty-artysty; odwracał się od przechodniów, pozujących w tej dzielnicy na lordów, w rzeczy samej zatracających czarną giełdą.

I od niemrawej krętaniny, za pobliskim, obmierzłym parkanem, której dano w gwarze potocznej miano „Rozbiórki“.

Wykolejony skutek wojny i wyzuty z ojcowizny, zarzucił malarz kotwicę w tym starym hotelu. Było to przed kilkoma laty.

Odtąd, pozornie spokojny, w rzeczy samej zaś wściekły i pełen jadu, obserwował mistrz ludzi i zdarzenia, w tym samym, mniej więcej, przekroju, w jakim się ci ludzie i te zdarzenia udzielały panu Edmundowi, przełożonemu nad kelnerami, paradyjącemu po restauracyjnej, hotelowej sali w nienagannym fraku, z czystą serwetą pod pachą.

Miedzy Załęskim a owym panem Edmundem „zaistniał“, mówiąc po małopolsku, fenomen głębokiej, wzajemnej sympatji. Sympatja ta „nie śmiała być“, mówiąc po wielkopolsku, natury napiwkowej: nigdy Załęski maître-d'hôtel'owi złotówki nie dał, nigdy też maître-d'hôtel po nią łapy nie wyciągał.

Ot, wzajemny pociąg pokrewnych dusz...

Kiedy jeszcze rozpierali się w sali Niemcy, bardzo pewni siebie, syczący na prawo i lewo swojemi „Kolossal!“, „Wissen Sie?“, „Famos!“ — — porozumiewał się Załęski z panem Edmundem

ukradkowemi, wielomówiącemi spojrzzeniami, rzu-
canemi od czasu do czasu ponad tępe, ostrzyżone
przy skórze i wtłoczone w sztywne kołnierze głó-
wy „Herrenvolku“.

Wzięli diabli Herrenvolk, rozbrojono Niemców.

Przyszedł któregoś dnia Załęski do restauracji,
zlekka zażenowany, taszcząc pod pachą autentycz-
ny, saperski tasak, taki srodze wyżębiony, istne
narzędzie tortur.

— Rozbroił pan dobrodziej Szwaba?

Załęski skrzywił się z niesmakiem...

— Djabła tam! Sam mi go oddał, spietrany.

Pan Edmund uśmiechnął się subtelnie.

— A, właśnie, panie dobrodzieju... I mnie też
jeden oddał swój pistolet... (Mówiąc to, wyciągnął
z pod poły fraka wściekłego jakiegoś Steyra...) Jak
to dziwnie w życiu bywa... Z takiej potęgi —
taki strach...!

W kilka lat później, bodaj że w pamiętnym ro-
ku 1920-ym, kiedy hordy „proletariatu“, idącego
„wyzwalać“ stolicę Polski, były już blisko, zaś
Jabłonny i Buchniki, Grochowy i Wawry puszyły
się dumnie, mniemając, iż spalą się z miłości dla
ojczyzny, jak jakie przedpole Verdun — popatry-
wali na siebie tak samo, dorywczo, malarz i mât-
tre-d'hôtel.

— Piorą nas? — mówiło rozżarzone spojrzenie Załęskiego, paradującego podówczas w jakimś srogim, ochotnickim frenczu.

Zasię spojrzenie pana Edmunda odpowiadało:

— Piorą!

Odszedł kędyś, w niepowrotną przeszłość, ten okres dziwnego bałaganu i dziwnego bohaterstwa, zakończony oszałamiającem zwycięstwem nad wrogiem.

Odszedł — — malarz nasz zasię przeżył arcykomiczny moment, zjawiając się w swojej ulubionej knajpie z ręką na temblaku.

— O! Pan dobrodziej raniony?

— Ani mi się śniło. Zwyczajnie, manicurzystka, jędza, palec mi rozpaskudziła! Też macie w hotelu specjalistki... Niech je kule biją!

— Faktycznie...

Dał wtedy pan Edmund dowód szczególnej czułości do Załęskiego, podszedł bowiem do jego stolika, spostrzegłszy, że malarz chce zacząć jeść „Boeuf à la Strogonoff“, wziął mu z przed nosa talerz, mruknął lakonicznie:

— Niech pan tego nie je. Świństwo! — poczem w pięć minut później zjawił się przy stoliku Załęskiego pikolak, dźwigający „Komierowskie-

go“, wielkiego jak liść kapusty i przedziwnie usmażonego.

— Pan Edmund kazał zmienić...

Tak to się kochali.

Zadzierzgnęły się między stałym gościem a maître-d'hôtelem jeszcze bliższe stosunki, gdy, z biegiem lat, Warszawę zalały jazz-bandowe ludy, zarażając swojemi podrygami starych i młodych, bogatych i biednych, wyrafinowańców i nieczytających.

Gdy się, powolna modzie, nawianej z zagranicy, pleć, piękną zwana, rewelacyjnie ogołiła i osmyczyła, gdy w co drugiej, skądinąd anielskiej, twarzyczce polskiej „Wiochny“ utkwiał papieros, a każdy koniuszeczek noska wchodził publicznie we frenetyczny kontakt z pudrem, a każde wargi z różem — stanęła dęba konserwatywna dusza malarza.

I rozsądek życiowy pana Edmunda — też stanął dęba!

— Czy pan wiesz — syczał Załęski do nachylnego nad nim, wzorowo posagowego służącego — czy pan wiesz, co to znaczy??? Upadek, panie Edmundo! Dekadencja i barok! O!

— Faktycznie.

— Maluje się, jedna z drugą, smarkata, jak kokocica ostatnia!

— Rzeczywiście.

— Strzyże to się, jak czupidron wenecki! Tfu! Co ja mówię, wenecki? Moskiewski! Widział też kto w Wenecji takie karykatury? Kobiety tycjanowskie, panie, to były osmażane w cukrze brzoskwinie, w porównaniu z temi Ryfkami à la garçonne! Tycjanby, panie, tym dzierlatkom skórę złupił!

— Hm...

— Tycjanby, panie Edmundzie, na ulicę wyleciał i takiego wrzasku narobił, żeby te baby w kanałach potopili! I wszyscy uczciwi malarze świata! Psiakrew! Ja, uważasz pan, jestem malarzem kobiet i robiłem z modela, kiedy się jeszcze te sroki z butelki karmiły! Ale, żebym był przewidywał, jak się rzeczy obróć i jak u nas w Polsce kobiety zmarnieją, tobym wołał, do stu djabłów, stodoły chłopom malować, lubryką, tak!

Mieszał pasjonat łyżeczką kawę i srożył się, jak nigdy. A pan Edmund, też rozboleał nad ojczyzny upadkiem, szeptem komunikował mu swoje uwagi...

— Bo naprawdę. Mieliśmy zawsze najlepsze towarzystwo i każdego się prawie w lokalu znało

z nazwiska... A teraz? Połowa, Bóg wie, kto! A jeszcze z dawniejszych gości, jeżeli czasem ktoś zawita, żenujące. Była tu, na przykład, w zeszłym tygodniu pewna młoda panienka, córka znanych ludzi, sama jedna, po 12-ej, z dwoma panami. Umalowana jak szansonistka. Piła likiery i paliła papierosy. A nogę na nogę, proszę pana szanownego, tak wysoko zakładała, że — — —

— Dekadencja!

— Właśnie mówię.

— Płacić!

Nastąpiła wiosna, roku tego dziwnie burzliwa i ciepła, niespokojna.

Przez kilka dni w królestwie pana Edmunda było pusto, bo na ulicach grzechotały salwy...

Grzechotały salwy, otrząsając krople deszczowe z lip, kasztanów i akacyj, na Wiejskiej i na Bagateli, w Łazienkach i Alejach.

Potem ucichło.

Załęski zamknął się był w tym czasie w pokoju na cztery spusty i malował, zacisnąwszy zęby, jeden ze swoich ulubionych aktów, których nigdy nie miał na sprzedaż, choć go o to proszono...

Najdzikszymi farbami po płótnie pacykował, pendzle raz szeroko, niedbale, po powierzchni

puszczał, to znów, jak jaki Japończyk, delikatnie obraz cyzelował, wydobywając z kleksów i plam sobie tylko wiadomą techniką — — ową nieporównaną k a r n a c j ę.

Zbliża wyglądało to okropnie: manewry diabłów w polu konieczny.

Ale odstąpiwszy ze trzy kroki, oparłszy się plecami o hotelowe drzwi, zamykające tę — żał się Boże! — pracownię — czułeś dreszcz podziwu i zachwyty...

— A to dopiero namalowane!

Nie schodził przez trzy dni Załęski ani razu na salę, prawie nie jadł.

Głośniejsze słysząc detonacje i brzęk struchlałych szyb, pogwizdywał mocno i fałszywie coś, co przypominało piosenkę:

„Bartoszu, Bartoszu — — Ej, nie traćwa nadziei!“

Zresztą schudł i szcerniał.

Zatytułował obraz, jak to dziwak czasem robił: „Głupia Magda“.

A przedstawiał ten obraz śliczną, półnagą kobietę, o anielskim wyrazie twarzy, leżącą na jakiejś łące i udrapowaną kilimem...

— Dlaczego, proszę jaśnie pana, „Głupia Magda“? — spytał się Załęskiego numerowy, sprzę-

tający jego pokój (kobiecej usługi pan nie znośli: wiedziano o tem w hotelu!).

Malarz wykrzywił się, przedrzeźniając numerowego, i zapytał szyderczo:

— Dlaczego „Głupia Magda“? — A dlatego, samego, dlaczego przez trzy dni w Warszawie strzelali, mój Aleksandrze! Żeby było trudniej zgadnąć!

I wykręcił się na pięcie.

— — — — —
Siła się rzeczy w Warszawie zmieniło, ale dla stałych, porządných gości jeszcze w niektórych hotelach respekt mają. Nietylko respekt, ale i sentyment.

Więc zeszedł stary Aleksander, od 20-u lat na III-em piętrze służący, nadół, do restauracji, wywołał pana Edmunda i zameldował mu poufnie, że pan Załęski jest bardzo zdenerwowany a przysyłane sobie obiady nabok odstawia. Powiedział jeszcze, szeptem, że malarz „czorta zjadł“, bo się z nim po ludzku dogadać ani rusz. I poprosił pana Edmunda, żeby może sam, osobiście?...

Wskutek takiej dyplomatycznej „démarche“ zjawił się po kwadransie u pana Załęskiego maître d'hôtel, pytając o zdrowie. Czem, ostatecznie, tak dziwaka wzruszył, że się prawie rozrzewnił.

— No, schodzę, schodzę... A co tam macie na obiad?

— Nic ważnego, prawdę mówiąc.

— Wszystko jedno. Będę dziś jadł na dole.

— Może chłodnik? Kazałbym specjalnie...

— Dobrze!

I zeszedł mistrz nadół, usiadł przy swoim stoliku, na dawnym miejscu.

Poszło jednak jakoś opieszale z tym chłodnikiem obstalunkowym, zaordynowanym przez pana Edmunda z wielkim nakładem dobrej woli i szyjek rakowych.

Lód topniał na talerzu, arcypolski specjał podchodził wodą, a Załęski patrzył i patrzył — na prawo, w róg sali, gdzie przy okrągłym stoliku siedziały w tej chwili, pijąc poobiednią czarną kawę, trzy damy. Na pierwszy rzut oka poznałbyś, że to były panie „ze wsi“. Coś już w nich takiego było, trudno powiedzieć, co? Może pewna, podświadoma, pewność siebie, wynik dziedzicznej niezależności osobistej...

Może jakiś powiew zdrowia? Coś w oczach? W sposobie bycia? Bodaj w strojach, trochę niemodnych?...

Najstarsza z tych pań, już siwa zupełnie, cho-

ciaż jeszcze piękna, siedziała na honorowem miejscu, pośrodku. Z prawej — miała zapewne córkę, a z lewej — chyba wnuczkę? Podobne były do siebie nadzwyczajnie.

Załęski nie mógł oderwać od nich oczu. Odrazu, jak tylko wszedł do restauracji i spostrzegł owe panie, miał szok.

Takiego — jakiegoś skurczu gardła doznał, bardzo dziwnego.

— To ona!

Skurcz gardła przez dłuższy czas nie ustępował, chociaż malarz czynił heroiczne wysiłki, żeby go opanować.

— Globus hystericus! — pomyślał. — Jestem do niczego! Z takimi nerwami, na grzybki!...

Uszczypnął się pod serwetą w rękę. Nie przechodziło.

Wtedy nalał sobie szklankę wody — i wypił ją jednym haustem.

Pomogło.

Dawno to było, bardzo dawno, przed 40-ma laty.

Załęski, podówczas ledwo opierzony młodzik, gorączka i paliwoda, czubił się z rodzicielem o tę

akademję w Monachjum — srogi rodziciel, zaś, huczał na syna, waląc dłonią w stół:

— A ja ci powiadam, że nie pojedziesz, błazniel! Jeszcze się żaden Załęski po podwórzach ze sztalugami nie włóczył!

No, ale pojechał. I był w tej akademji wymarzonej. I włóczył się „po podwórzach“ ze sztalugami, chociaż Załęski. Nie rok, nie dwa... Właściwie całe życie... Ojciec umarł, w rodzinnych Górach rządcowie i dzierżawcy gospodarowali, aż to wszystko wojna, raz na zawsze, zmiotła... I rządców, i Góry...

Tylko nie zmiotła wspomnienia o pannie Anieli...

Oparł Załęski głowę na dłoni i przyglądał się babci przez szpary między palcami, niepoznany.

— Tak, tak... Młodziutką ją wydali zamaż, słyszał. I córka jej musiała bardzo młodo wyjść zamaż. Skądżeby inaczej taka śliczna się wzięła pannica? Ta najmłodsza?... Zaraz, ileż to może mieć lat?... Chyba z szesnaście?

„Pannica“ delektowała się właśnie tortem. Wyjadała pracowicie konfitury, mało dbając o salę i sąsiadów. Gdy pochyliła w pewnej chwili nad

talerzykiem głowę, odsłaniając opalony na złoto karczek, dojrzał Załęski warkocz...

— Boże, jaki warkocz!

Zwinięte to było w jakieś, niekoniecznie udane, lks, ale ogromne, ciężkie i złote, jak dukat.

— Koza... — pomyślał z rozrzewnieniem Załęski: — Nosi włosy do kolan i zajada tort, jak smarkacz... Śliczna!

Matka tej panienki, wzięta zkolei na muszkę, wydała się Załęskiemu bodaj jeszcze ładniejszą: z pod ciężkich, kasztanowatych włosów spoglądały spokojne, ciemne oczy... Biała, rasowa, zlekka opalona ręka przykuwała wzrok...

Teraz wpatrzył się zkolei w najstarszą.

Rozmawiała z córką o czemś, widać, wesołem, bo uśmiechała się w tej chwili. Uśmiechając się, rozświeślała się cała — i uśmiech ten, zupełnie promienny, stawał się wprost czarownym w aureoli jej srebrnych włosów. Miała na sobie jakąś ciemną, zdaje się, szarą, suknię jedwabną — na szyi zaś, długi aż do pasa, złoty łańcuszek z perełkami, jakiego już dziś nikt nie nosi...

I dwa pukle siwych, zupełnie gładko uczesanych włosów zdobiły na skroniach dwa małe, szyldkretowe grzebyki, jakich teraz też nikt nie

nosi... Odwracając w pewnych chwilach twarz, ukazywała babcia profil czysty, jak kamea...

Przypomniął sobie Załęski rozmowę, jaką miał niedawno z panią Kotą Wawrzeniecką, dancin-gową lwicą, której był kiedyś przedstawiony w hallu hotelowym. Ta pani Wawrzeniecka, przyznająca się do 40-ki, a mająca podobno rzetelną 50-kę, matka dwóch zameężnych córek, umalowana jak batik, powiedziała:

—*C'est jeune et ça n'sait-pas...* U kobiety raso-wej dojrzewają zmysły właściwie dopiero po pierwszym kochanku... jej córki. Nie? Ha, ha!

Chciał wtedy Załęski babę zakatrupić, ale nie chciał wywoływać ścisku przed lożą portjera.

Do stolika trzech pań podszedł kelner z rachunkiem. Płacono. Przez mgnienie oka walczył Załęski ze sobą. Coś się w nim wyrywało... do babci. Niby dalekie olśnienie, przejęło go uczucie zupełnej młodości. Zdało mu się, że widzi grabowy szpaler w Górach, w tem miejscu, gdzie gąszcz się urywa nad stawem — i ławkę kamienną, odwieczną, omszoną — i drżące palmy słońca na głębokim szmaragdzie zieleni...

Zdało mu się, że słyszy pluskanie tej wody ukochanej — i szmer ajerów, kołyszących się miarowo, tam i zpowrotem...

Ją — i siebie ujrzał — przed 40-tu laty — zamysłonych nad tą wodą...

Już wstawał — ale się pohamował ostatecznym wysiłkiem woli.

— Poco?

Panie wstawały.

— Poco? Cóż jej powie? Wymieni nazwisko? Oczywiście, przypomni go sobie odrazu. Pozdrowi serdecznie. Może poprosi o odwiedzinę? Córka jej będzie się uśmiechała życzliwie, wnuczka — z zaciekawieniem. No, a dalej? Co dalej?

Załęski siedział po wyjściu tych pań długo, bardzo długo, pogrążony w zadumie.

Przychodził do jego stolika kilka razy pan Edmund, zatroskany, że malarz nie nie je. Zmieniano mu talerze, podawano jakieś potrawy, które żuł machinalnie, nie zdając sobie właściwie sprawy z tego, co je. Potem pił kawę, filiżankę po filiżance, patrząc w dywan.

A później, kiedy sala opustoszała, wstał — i skierował się ociężałym krokiem ku wyjściu.

W przedsionku minął jakąś błażliwą i roześmianą grupę pań i panów, zionącą zabójczo perfumami „Mitsuke“...

Odwrócił od nich głowę.

A wieczorem stał przy oknie, w swoim ciasnym pokoju na III-em piętrze, patrzył w zapadający zmierzch — i słuchał tętna „Wielkiej Warszawy“.

— Takiej dziwnie obcej.

Ze sztalug uśmiechała się przez łyzy „Głupia Magda“.

GWIAZDA SYLWESTROWA.

I.

Miała dopiero 20 lat — i nazywała się „Gwiazda Sylwestrowa“.

Nazywała się tak — tylko dziś. Ściślej — tak się nazywał jej kostjum: „Gwiazda Sylwestrowa“.

Bo naprawdę miała na imię Odetta, pracowała w wielkim magazynie „Au Bon Marché“ (III piętro, 3 sekcja, fiszka służbowa nr. 256) i sprzedawała koronki.

Myśl wzięcia udziału w dorocznym, wielkim balu Sylwestrowym, organizowanym przez wytworne pismo „Femina“, przysłał Odecie znienacka.

Było to mniej więcej w połowie grudnia.

Panna Odetta wracała do domu po całodziennej, uciążliwej pracy, zupełnie złamana — i smutna.

Odmierzyła tego dnia wśród nieopisanego gwaru, panującego w magazynie, wśród dzwonek, przedświątecznego rejwachu i dokuczliwych maru-

dzeń klienteli — chyba z 10.000 metrów różnych koronek i walansjenek...

Była do tego stopnia wyczerpana, że, śpiesząc do kolei podziemnej, która miała ją, jak codzień, przenieść na odległe przedmieście Paryża, nie umiała nawet odcinać się polującym na midinetki — ulicznym donżuanom.

Przemykała się, biedactwo, przez tłum mężczyzn, jak mały, biedny, zgoniony zajaczek, uciekający przed obławą — i rada była, gdy ją wchłonięły wreszcie labirynty Metro...

Znalazłszy się w wagonie kolei elektrycznej, uczepiła się, zupełnie machinalnie, jakiegoś chwytu mosiężnego, a kiedy pociąg drgnął, kiedy przyspieszył biegu — doznała wrażenia, że mdleje.

Zawirowały w oczach Odetty czarne, miękkie płatki...

Wozy zataczały się jak pijane, dudniąc pod Sekwaną — a 20-letnia ozdoba magazynów „Bon Marché“ chwiała się w kleistym zaduchu podziemia. Z największym trudem opanowała swoją słabość.

Robotnik w niebieskiej bluzie, na którego ramieniu oparła się mimo woli, odpowiedział na jej „Pardon!“ — dobrodusznie: — „Pas de quoi, M'sel-

le..." i pokazał w uśmiechu rząd młodych, białych zębów.

Panna Odetta pomyślała sobie w tej chwili, że poto, ażeby dorobić się czasem chociażby takiego, ot, chłopca — początkującego montera, czy nawet prostego robociarza — zarabiającego za ledwie paręset franków tygodniowo — będzie musiała pracować lata całe, mierzyć kilometry korynek, lejących się przez palce jak woda — wdziękować się pokornie do umalowanych klientek — zabiegać o łaski szefów — i skwaśnieć w rezultacie na ocet, albo rozchorować się na suchoty.

Jedna z koleżanek Odetty, Żermena, uniknęła wprawdzie takiego losu, wyjeżdżając z jakimś bankierem na południe.

— Tak, ale Żermena nie była uczciwą dziewczyną!

Chwaliła się co miesiąc coraz to innym narzęczonym i nosiła prawdziwe, jedwabne pończochy...

Odetta przymknęła oczy. Popadła w stan jakiegoś osobliwego odrętwienia. W tem odrętwieniu zaczęła śnić — niejako na jawie...

Że wyszła zamaż, że ma nareszcie własne, nie-duże, ale bardzo miłe mieszkanko, gdzieś na 5-em piętrze, w nowej kamienicy na Boulevard Raspail — i że nie jest już numerem 256 — i że nie pra-

cuje w tem okropnem „Au Bon Marché“ — tylko kołysze mężowi malutkiego, ślicznego synka — i jest okropnie, ale to okropnie szczęśliwa!

Obudził dziewczynę z tych marzeń nagły wstrząs. Wysunęła się automatycznym ruchem z wagonu.

Posuwając się w tłumie jasnym, beznadziejnie martwym kurytarzem, wyłożonym biało polśniejącymi kafelkami, Odetta odczytywała machinalnie plakaty i reklamy, krzyczące tu i tam...

I w pewnej chwili drgnęła, postrzegłszy wielki afisz „Femina“, oznajmiający o dorocznym, kostjumowym balu.

Wstrząs!

— A co, gdyby tak poszła raz na ten Sylwestrowy bal? Gdyby uszyła sobie cudowną sukienkę — i zwyciężyła na konkursie? Dostałaby nagrodę... Zrobionoby z nią wywiad... W zeszłym roku wszystkie ilustracje paryskie pisały o tej... no, o tej z „Moulin Rouge“, takiej wysokiej, rudej... Mój Boże! Jakby to było pięknie! Laureatki tego konkursu zawsze potem robią karierę: taka już tradycja... Każdy wielki magazyn mód przyjąłby ją za modelkę... Albo, jeszcze lepiej, zostałaby w „Bon Marché“, ale już nie jako nr. 256, tylko jako dysponentka... Kto wie? Może nawet dyrek-

torka III-ej sekcji? Nie kręciłoby się jej w głowie i nie wirowały czarne płatki...

— Tak, tylko ten kostjum!

Taka była geneza szaleńczego pomysłu panny Odetty.

Zaraz nazajutrz zaczęła sobie szyć kostjum własnej, oczywiście, inwencji: „Gwiazda Sylwestrowa“.

Pomagała jej w tem koleżanka, brzydka, piegowata Margot, z 2-ej sekcji (fiszka służbowa 189).

Pocziwa Margot dawno zrezygnowała ze wszystkiego. Ale nie miała w sobie zawiści. Przeciwnie! Powiedziała do Odetty, dowiedziawszy się o jej zabójczych i ryzykownych planach:

— Czekaj, ja ci pomogę, mała.

A potem, dowiedziawszy się, że Odetta chce wydać na ową suknię wszystkie swoje oszczędności, dodała jeszcze z uśmiechem:

— Obawiam się, że 300 franków nie wystarczy. Weź jeszcze ode mnie te 200...

Odetta wzdragała się, ale Margot przecięła dyskusję bardzo energicznie:

— Jeżeli już spadać z konia — to z dobrego!

Śleczyły obie nocami, na 6-em piętrze, w pokoiku Margot, bo tam było więcej miejsca, no, i duży stół.

Czasami, zmęczone trudnym haftem, wstawały i szły do okiennej wnęki.

Wówczas pod stopami ich wyrastał czarodziejsko, cały w złotych i srebrnych łunach — Paryż, cudowny Paryż — leżący u stóp Montmartre'u.

Świeciły się jaszczurczymi skrami reklamy Citroëna, falujące na wieży Eiffla.

I mżyła drobna, deszczowa mgła, przesłaniająca horyzonty — od owej mansardy 6-go piętra — aż het, po forty — i dalej, w zimową noc...

Blisko dwa tygodnie szyły i haftowały „Gwiazdę Sylwestrową“, wkładając w swoją pracę wszystek smak, wszystką pomysłowość rodowitych paryżanek.

Kreacja tak wyglądała: na tle z ciemno-szafirowej lamy — haft: brylanty, brylanty, brylanty...

A we włosy miała sobie wpiąć panna Odetta fantazję z błyszczących kamieni i paradizów. (Paradizy pożyczala taka Madame Bouchard, znajoma Margot, która miała sklep z piórami koło Place Pigalle.)

Kiedy skończyły ten cud i kiedy Odetta ubrała się w gotową suknię — zamilkły obie ze wzruszenia.

— Jesteś urocza! — zawołała Margot: —
Wprost urocza!

Odetta zarumieniła się jak wiśnia.

— Sądysz, że jest dobrze?

— Wspaniale!

Lusterko było w pokoiku jedno, nieduże. Odetta wykręcała się w swej sukni przed tem lustrem i tak — i owak — ale niewiele widziała. Musiała tedy całkowicie zaufać zdaniu przyjaciółki.

Margot zegnała Odettę, jak się zegna drogą osobę, wyruszającą na plac boju.

Obie były wzruszone (choć kryły się z tem!) i obie miały szaloną tremę.

— Czeka! Zawołam ci taxi!

— Dziękuję, Margot, ja sama — —

— Warjatka! Myśli, że jej pozwolę w takiej sukni biegać po deszczu!

— Margot, kochana, nie pada...

— Ale może padać!

I Margot wybiegła z pokoju.

A kiedy Odetta siedziała już w samochodzie, zrobiła nad nią Margot tajemniczy znak.

(Pytana później przez przyjaciółkę, wypierała się wszystkiego i twierdziła, że wtedy poprostu

strzepnęła palcami... Ale, zdaje się, że to było coś innego...)

Margot nie mogła jechać na bal, to jasne.

— Zaco?

II.

Stała panna Odetta przed surowem Jury, blada jak papier, cała drżąca i bliska płaczu. Wogóle opuściły ją resztki tupetu zaraz po przybyciu na bal... Boże, jakie tam były stroje...!

Brokaty, lamy, jedwabie, płaszcze, klejnoty, pióra, koronki... Niejedna miała na sobie setki tysięcy franków... Wszystkie zaćmiewały Odetę (tak jej się w tej chwili zdało) — urodą, bogactwem i szykiem.

Sędziowie spojrzeli na siebie, ubawieni. Przewodniczący Jury, jakiś szalenie wytworny hrabia, zapytał Odetę dosyć chłodno:

— Co ma wyobrażać pani kostjum?

Odetta zaczerwieniła się cała. War krwi spłynął od szyi do ramion — i niżej — wydało się dziewczynie, że cała płonie.

Wpatrywały się w nią setki oczu.

Wyjąkała, strasznie zażenowana...

— Gwiazda... Sylwestrowa...

A widząc zlekka drwiące uśmiechy kilku panów

(i jadowite spojrzenia kobiet!), szepnęła jeszcze zupełnie drżącym głosem:

— ...widziana z III-go piętra, z 3-ej sekcji magazynu „Au Bon Marché“...

Snąć prawdą jest, że Opatrzność czuwa nad maluczkimi. Bo zaraz potem, kiedy panna Odetta dodała wiadomy komentarz (doprawdy, bez żadnej specjalnej myśli!) — i gdy zaszyła się w kąsali (połknąwszy parę łez; wiedziała przecież, że nagrody nie dostanie, bo na balu zobaczyła najślawniejsze lwice Paryża i renomowane kurtyzany, ubrane jak greckie boginie), zaraz potem ożywiło się senne i zblazowane Jury.

Matadorzy mody i opinji, dyktatorzy dobrego smaku przestali się interesować panną Duval, która miała na sobie perły wartości pół miljona franków — i panną Lyane D'Orsay, „vedette“ „Casino de Paris“, tonącą w chinchillowej *sortie*, i wszystkimi innemi — a zainteresowali się — Odetką.

— Wiecie co, panowie — powiedział do kolegów z Jury pewien znany malarz kobiet, patrząc wślad za Odetką zachwyconem okiem: — Ta mała ma kapitalny akt!

— Ma! — przyświadczył malarzowi markiz De

Fayolle, wielki znawca ludzkich i końskich pęcin: — Zupełnie rasowa!

A bankier Blum, siedzący obok pierwszych dwóch, oświadczył wesoło:

— Chociaż wiem, że mi panna D'Orsay oczy wydrapie, dam głos za tą małą midinetką!

— Uważasz — szepnął do swojego przyjaciela znany dziennikarz Victor: — Blum asekuruje się na wszelki wypadek gdybyśmy premjowali brylanty i perły, narazilibyśmy go w przyszłym roku na bankructwo!

Ktoś zauważył jeszcze:

— Założyłbym się, że ta mała sama sobie wszystko uszyła.

A ktoś inny uzupełnił:

— „Gwiazda Sylwestrowa“ widziana z III-go piętra, z 3-ej sekcji magazynu Bon Marché“? Ależ, moi drodzy, ta panna Odetta ma nadzwyczajny sentyment. Najładniej nazywa się dziś jej kostjum!

— I, nagradzając ją, uwzględnimy, do pewnego stopnia, socjalną p o i n t ę — oświadczył wesoło młody literat: — To też coś znaczy!

Jury ożywiło się.

— Tak, to zrobi doskonałe wrażenie!

Nie podniósł się żaden głos protestu.

Stało się tedy, że Jury balu Sylwestrowego, powstawszy z miejsc, zajmowanych na ukwieconej estradzie, ogłosiło w kwadrans później swoją sentencję, wysłuchaną przez strojne damy i ufraczonych panów w należytem skupieniu:

— Jury balu „Femina“ przyznaje jednomyslnie pierwszą nagrodę za najpiękniejszy kostjum:— pannie Odecie z magazynu „Au Bon Marché“. Kostjum panny Odetty nazywa się „Gwiazda Sylwestrowa“! — „Gwiazda Sylwestrowa, widziana z III-go piętra, 3-ej sekcji magazynu „Au Bon Marché“...

Gdyby ktoś był rzucił w tym momencie u stóp Odetty eksplodujący z hukiem granat, nie drgnęłaby tak gwałtownie!

Przyływ szalonej emocji, wzruszenie, radość: — usiadła.

Od Jury wyszło jeszcze następujące, surowe oświadczenie:

— Avis important! Uprzedza się pp. fotografów i operatorów, że prawo pierwszeństwa do reprodukcji toalety panny Odetty — nabywa pismo „Femina“!

Odetta przełknęła coś z wielkim trudem. Byłaby może nawet rozplakała się jeszcze raz — ale

wzięła się w ręce. Panowie z estrady podeszli do niej, ofiarowując laureatce piękną bransoletę — i pęk cudownych róż.

Muzyka zagrała wesołą fanfarę, mężczyźni zaczęli bić brawo, kobiety zzieleniały.

Zaprowadzono następnie pannę Odettę w wielkim triumfie na owo podjum, gdzie rczjarzyła się, ukryta wśród ozdobnych roślin, lampa „Jupiter“ — i zaczęły pstrykać obiektywy aparatów.

— Na przyszły rok przyjdę w fartuchu kuchennym! — powiedziała dosyć głośno szkarłatna podszminką „boska“ Lyane D'Orsay: — Widzę, że to się mężczyznom najbardziej podoba!

Na co odpowiedział wesoło markiz De Fayolle, znany czasem z ostrego języka:

— O, tak, kochana Lyane! Uczynź to! Kobieta wygląda najlepiej, gdy ma na sobie strój, do którego przywykła!

III.

Kilku reporterów poprosiło jeszcze tego samego wieczora o wywiady.

A jeden z szefów firmy „Au Bon Marché“, monsieur Klotz, pan życia i śmierci 2.000 pracowników i pracownic, podszedł do Odetty, przedstawił się jej i zakomunikował dziewczynie dobrodusznie,

że firma wypłaci jej pojutrze, 2-go stycznia, 1.000 franków tytułem gratyfikacji za dobrą reklamę — ponadto, oczywiście, zwróci rzeczywiste koszty toalety.

Nie zapomniała jednak Odetta w tym momencie radosnym o przyjaciółce swej, zacnej Margot, która się przecież przyczyniła w dużym stopniu do jej szczęścia.

— Panna Margot Bidoux, jeszcze nieetablowana! — odpowiadała licznie zgłaszającym się do niej paniom.

Dowiedział się więc nazajutrz Paryż, że istnieje zdolna, chociaż jeszcze „nieetablowana“ krawczywni, panna Bidoux, której kreacja zwyciężyła pierwsze domy mód..

— Ba! Zapędziła w kozi róg panie Lyane D'Orsay, Yvette Nazzarro, Fay, Gui, Chryzis — słynne elegantki.

Nie dziwota, że w dwa dni potem znalazł się uczynny Francuz... Lubliner, który ofiarował panie Bidoux pożyczkę, „etablując“ nowe atelier mody w jednej ze skromnych, ale światowych uliczek, wychodzących na Rue de la Paix... Dał nawet kapitał na znikomy procent, tylko postawił za warunek, że wejdzie do spółki.

IV.

Odetta ma męża, przemiłego, wesołego chłopca — i synka malutkiego, który właśnie zaczyna chodzić.

Dziś dostała dla niego pierwsze, mięciuchne trzewiczki — akurat w trzecią rocznicę pamiętnego Sylwestra — oczywiście, od panny Margot Bidoux, właścicielki dobrze prosperującego magazynu.

Odetta w małżeństwie niesłychanie wyładniała. Kiedy pędzi teraz z rana do swojego „Bon Marché” (gdzie piastuje odpowiedzialny urząd przełożonej III-ej sekcji) — wygląda tak uroczo, że się na nią na ulicy wszyscy oglądają. A o godzinie 7-ej, po skończonej pracy, przychodzi po nią jej ukochany René — najzdolniejszy mechanik i konstruktor, który zaćmi niebawem wszystkich Blériotów — poza tem najprzystojniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek oglądał Paryż — i wracają do domu, do malutkiego, dwupokojowego mieszkanka, w którym czeka na nich wielki psotnik i śmieszek, Jeannot — gwiazdka „Gwiazdy Sylwestrowej“ ..

R A D J O .

I.

Odrazu, od pierwszego dnia znajomości, od pierwszego spotkania, zakochali się w sobie śmiertelnie.

Zakochali się — jedno w drugim — gwałtownie i bezapelacyjnie.

Miłość ugodziła ich w same serca (poco tu szukać głębszych porównań?), jak rewolwerowa kula. Ugodziła ich w głowy (poco poetyzować daremnie?), jak cegła.

— *Coup de foudre!*

Działo się w Operze, podczas spektaklu. Po akcie. Publiczność wyła. Kurtyna szła raz dogóry, raz nadół. Raz dogóry, raz nadół. Leciały kwiaty. Wywoływano ją bez końca...

— *Brava! Bra-vaaa!*

Gdyby był wybuchł nagle najbliższy sąsiad tej muzycznej dziczy, Wezuwjusz, nie drgnęłaby chyba rtęć. W sali było duszno i ekstatycznie.

W sali był cały Neapol. Angielki i Amerykanki, uperfumowane od góry do dołu, gdzie można i gdzie nie można. Miastowe damy, bijące w nos trocizkami i czosnkiem. Mężczyźni, pachnący najdyskretniej: tytoniem.

Wpadła w kulisy jak sirocco, rozgrzana i dysząca triumfem, zwycięska Tosca — i potrafiła go łokciem w pędzie.

Byłaby zapewne pobiegła dalej, do garderoby, ale usłyszała ekskuzę, wypowiedzianą niezdarną włoszczyzną; wypowiedzianą jednak takim głosem, że, zda się, pchnięcia doznała — pchnięcia srebrnej klingi, owiniętej w aksamit — — —

Obejrzała się mimo woli.

Mężczyzna, posiadający ów fascynujący głos, stał w pełnem świetle. Był wysoki i bardzo piękny. Miał włosy blond. I strój podróżny. I patrzył na nią z bałwochwalczem uwielbieniem.

— Cudzoziemiec?

Okazało się, że cudzoziemiec. Bo w tej samej chwili podszedł do obojga Donatello, impresarjo, i dokonał aktu pośpiesznej prezentacji.

— Signor ...ski...

(Polacco!)

— ...zapowiedziany partner, z którym będzie pojutrze śpiewała w „Pajacach“...

Pojechali po skończonem przedstawieniu na wspólną kolację, we czworo: ona, Polak, dyrektor Opery i impresarjo. Pojechali lichem autem dyrektora do jakiejś modnej, ale niegodziwej knajpy na Via Nazionale. Podczas kolacji rozmowa kulała, bo Włosi starali się uprzytomnić polskiemu tenorowi, jaki to go wielki zaszczyt spotyka — i bredzili trzy po trzy o tegorocznym sezonie — Polak zaś i diva rozmawiali z sobą mdlejącemi oczami...

Niewyraźnego langusta i jeszcze niewyraźniejsze Asti sprzątnęli, ostatecznie, obaj panowie o granatowych podbródkach, a diva z Polakiem płonęli jak siarka...

Zrobiło się potem zamieszanie, bo rachunek zapłacił gość (wywarło to doskonałe wrażenie!), bo obaj amfitrjoni długo oponowali (długo gestykulowali), bo nad miastem przeleciał deszczowy szkwał (gorący, jak pocałunek czarownicy), bo zrobiło się mokro (bo reprezentacyjne auto gdzieś się zawieruszyło), bo fiakry pochłoneła ziemia (bo było już bardzo późno), bo nazajutrz, o 10-ej z rana, miała być próba (bo — — —)

Ostatecznie polski tenor znalazł jakiegoś fiakra i wsadził pod budę śmiejącą się nerwowo koleżankę — robiąc obu pozostającym Italjanom:

— Pa...

I pojechali.

Pojechali stromemi, podejrzanemi, bardzo cuchnącemi uliczkami, gdzieś wgórę, potem wprawo, bodaj w okolice Porta Capuana (śmierdziało tam nielitościwie...), potem jakoś w lewo, w takie czeluście, że, zda się, za każdym rogiem powinien był na nich czekać bandyta. Trzeba wiedzieć, że w tych sympatycznych stronach Boska mieszkała. Z mamą, papą.

Ale niezupełnie dojechali, gdyż z poza dachów obmierzłych ruder wyrzał raptem pomarańczowy księżyc — zasię z pomiędzy dwu murów — wyrzało morze.

O ile przedtem przeważnie milczeli, teraz, nagle, zaczęli mówić. Ona po włosku oczywiście, bo żadnego innego języka nie знаła — on po francusku, po niemiecku, po polsku — i jeszcze po jakimś.

Zatrzymali fiakra, weszli do austerji, która się nawinęła, usiedli przy małym stoliku, zawieszonym nad przepaścią.

Ha — ta austerja była na skale, a pod skałą była pustka, bluszcze — i Neapol.

Podano im jakieś wino, ale diva wyrzuciła ze słowiczego gardziółka istny potok gniewnych słów — i wino natychmiast zmieniono.

Okazało się, że drugie wino było wyborne. Przepili do siebie raz i drugi.

Zjawili się, mimo bardzo późnej pory, dwaj śpiewacy — i zadrżał w cichem powietrzu słodki refren:

— O, bella Napoli...

Dwu śpiewakom za balustradą zawtórowało niebawem *mezza voce* — oni — mistrze.

Zaczęli zewsząd wyłazić rozespani ludzie, niedowierzając uszom.

Cisza się zrobiła, jakby makiem zasiał, taka ogromna cisza, że gdyby w tej chwili, w tej austerji i do tego stolika przysiadł się sam *R e V i t t o r i o s o*, albo zgoła sam *D u c e* — toby na niego psyknęli — — —

Głos Włoszki brzmiał, jak słodki spazm...

A głos Polaka, jak miłość sama...

To też, kiedy cichutko umarła ostatnia strofka neapolitańskiej piosenki, wybuchła frenetyczna owacja. Bili brawo obaj uliczni śpiewacy, ten z mandoliną i ten bez mandoliny, bił brawo go-

spodarz, rodzina gospodarza, wszyscy sąsiedzi i wszyscy kelnerzy. Wino się wylało, plamiąc jasną suknię Divy.

Rzucił się Polak wycierać Vesuvio z szatek koleżanki — i sparzył sobie dłoń o jej sprężystą, pyszną łydkę — — —

Potem czyjaś ręka dyskretnie przyćmiła światła — i był księżyc tylko, zupełnie seledynowy, morze woddali, w jeszcze większej dali — — — Capri — — — a w najbliższem sąsiedztwie — ich zęby.

Dwa śnieżne, młode dwurzędy zębów, między szczelinami warg.

Zwarły się tedy (oczywiście) te głodne wargi, zwarły się dwa najlepsze gatunki emalii — polska, pocziwą kredą pielęgnowana — i włoska, zapewne nigdy niepielęgnowana...

Wtedy zawirowało wszystko: Wezuwjust, Neapol, Castel dell'Ovo, cały Posilippo, księżyc, morze, niebo — dokoła tych dwojga.

— Bodaj, że gdzieś gwiazda spadła — — —

II .

Odrazu od pierwszego debjutu, od pierwszego wspólnego występu, znienawidzili się śmiertelnie.

Znienawidzili — jedno drugie — gwałtownie i bezapelacyjnie.

Nienawiść ugodziła ich w same serca (poco tu szukać głębszych porównań?), jak rewolwerowa kula. Ugodziła ich w głowy (poco dramatyzować daremnie?), jak cegła.

— *Jalousie de métier!*

Kochali się jak szaleńcy przez 48 godzin. Tylko 48 godzin oddzielało chwilę pierwszego spotkania od ich pierwszego wspólnego występu. A 48 godzin — to niedużo...

Zaszyły wprowadzie w tym czasie rzeczy doniosłe, skądinąd epokowe. Polaka przedstawiono rodzinie, zamieszkującej w starym domu wpobliżu Porta Capuana. Oznajmiono, że ten właśnie pan, przybyły z Polski, jest upatrzony na męża i zięcia. Że jest kochany nad życie. Że jest wielkim artystą! Tak wielkim, że o jego występ można być zupełnie spokojnym. Ale — — —

Ale przyszedł wieczór „Pajaców“ — i bomba pękła. Byłoby, doprawdy, lepiej, gdyby tego wieczora znajdowali się na widowni sami mężczyźni. Cóż? Przewaga Angielek i Amerykanek zdecydowała o oklaskach. Onegdajszą zwycięską Toscę przyjęto ciepło: debjutanta — wulkanicznie. Diwa dostała kilka naręczy kwiatów; Polak — całą

platformę! Neddę wywołano zaledwie kilka razy; jej rywala — wywoływano bez końca!

— Cudownie śpiewałaś! — rzucił kochance Polak, upojony triumfem.

— Twoja klaka spisała się bez zarzutu — odpowiedziała mu Nedda, błada pod szminką.

Kochali się jednak jeszcze przez długie, długie lata, bo związała ich — nienawiść.

Kochali się w Medjolanie, dokąd pojechali z Neapolu i w Rzymie, dokąd ich wytelegrafował signor Donatello, i w Wenecji, dokąd ich znęcił konkurent impresarja Donatella, impresarjo Volpi, i jeszcze raz w Rzymie, dokąd ich nawrócił zakłęciami na Madonnę (i na królewskie gaże) — któżby? — Donatello!

Kochali się potem, zgrzytając zębami, w Wiedniu i Paryżu, w Berlinie i Monachjum... Zdarzało się tak, że to zgrzytanie zębami stawało się udziałem jego — bo ona miała większe powodzenie.

I zdarzało się, że znowu on otrzymał więcej braw i kwiatów — wtedy ona zgrzytała.

Tymczasem działały się różne rzeczy: krwa-wa bijatyka po premierze w Paryżu... Dziecko podczas tourné po Hiszpanji... Policzek przy podniesionej kurtynie w Pradze... Telegram o śmierci

dziecka po 3-im akcie „Butterfly“, w Brukseli...

Ale się jeszcze kochali!

Aż przyszedł koniec, zupełnie znienacka. Po jakiejś pijatyce szampańskiej, po nieprzespanej nocy, zachciało się mistrzowi olśnić zuchowatością — kolegów. (A zwłaszcza koleżanki!)

Zaśpiewał w mroźny zimowy świt najpiękniejszą swą arję, kiwając się na Kolońskim moście.

Skutki tego wybryku, tradycyjnego w rodzie polskich tenorów, były wprost nieoczekiwane: najpierw aresztowali go szucmani za zakłócenie porządku, a potem zjawiała się chrypeczka.

Chrypeczka nieduża, ot, tycia. Ale uporczywa...

Wziął za leczenie tej chrypeczki gruby grosz jakiś słynny niemiecki profesor; potem, kiedy chrypeczka się powiększyła, trzeba było próbować zmiany klimatu.

Strzygli biednego śpiewaka pokolei: Francuz, Anglik i Włoch...

Leczył się póty, aż wszystko, co zebrał, przeleczył...

A że się, biedaczysko, pocieszał w tych terminach z niejedną dziewczuszką, trwoniąc własne lombardowe kwity i pieniądze Włoszki — nastąpiło to, co już dawno powinno było nastąpić: znalazł się

pewnego rana na stoliku nocnym list, w liście ubogi banknocik i królewska girlanda przekleństw —

— Wo ist meine Frau? — ryknął ze schodów obskurnego hotelu do loży portjera: — Wo ist meine Frau???

Na co portjer, spokojny Niemiec (było to we Wrocławiu, a może Lipsku), podniósł głowę, zmierzył wzrokiem gościa, dygocącego w bieliźnie — i odpowiedział:

— Ihre Frau ist nach Italien abgereist. Deshalb brauchen Sie aber nicht im Hemd herumzulaufen...

Nastąpiła potem wymiana depesz, zgola nie pocieszająca.

Na depesze biedaka odpowiadali z zasady albo Donatello, albo Volpi, żona nigdy.

Z depesz tych panów wynikało jasno, że porzucony mąż nie ma się czego spodziewać. Diva jest związana poważnemi kontraktami i nie może wyjechać z Włoch przed ukończeniem sezonu... Odradza mu się też jak najserdeczniej nierozważne kroki... Byłoby to bardzo źle widziane w pewnych sferach, interesujących się nader żywo karierą fenomenalnej artystki...

Wrócił tedy do Polski, późną zimą, po wieloletniej nieobecności.

Wrócił do Warszawy, obcej i nieprzyjaznej. Bliższej rodziny nie miał, oszczędności nie posiadał.

— Cóż mu pozostawało, w najlepszym razie? Lekcje śpiewu...

III.

W grudniu, kiedy wieczory są takie długie, szczególnie przyjemnie słucha się radja. Radjo kosztuje niedrogo.

Miło jest usiąść wygodnie w fotelu, zapalić papierosa, położyć przed sobą program codzienny — i wybierać...

— Wybierać! Ale co? Hm... Fala 465... Jazz-band... Fala 530... Odczyt o witaminach, po niemiecku... Fala 1050... Muzyka kameralna... Fala 1250... Raport meteorologiczny.

— A co będzie za kwadrans? Aha. Medjolan! Transmisja: La Scala! — — — Hm... Co dziś śpiewają? Tosca! Kto śpiewa?

— Ona! Ona! Ona!

Och, jakże miło jest zanurzyć się głęboko w fo-

telu, w nędznym pokoju na Kruczej, między jedy-
nemi przyzwoitemi sprzętami — łóżkiem a piani-
nem — założyć szczelnie na uszy kask ze słuchaw-
kami — i słuchać — i słuchać Tosci, śpiewanej
w dalekim Medjolanie, w królewskim teatrze La
Scala!

Zamknąć oczy — natężyć słuch — i łowić cu-
downe vibracje — zapominając o deszczu, szu-
miącym za oknem — o przeraźliwie smutnej, zimo-
wej pustce...

I nagle — nagle — obnażyć wszystkie zęby
w wilczym uśmiechu — (pocziwe zęby! przetrwa-
ją człowieka!) — i podnieść nasłuchująco rękę:

— Nie... Doprawdy... Czy to słuchawki kła-
mią — — — Czy ona naprawdę — — — też
głos traci...?!



SPIS RZECZY.

	Str.
Siostry Cleo	5
Pia	15
Mieszkanie	33
Postanowienie księcia Stefana (Rzecz dydaktyczna) . .	57
List z opłatkiem	75
Japończyk	97
Chianti	109
Bar (Historja paryska)	121
Głupia Magda	137
Gwiazda Sylwestrowa	153
Radjo	167

34771M11

60,-

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000263796



I 431037